



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



WIOSNA 2025 (43)
KRAKÓW

Wsiadamy?

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

Po XXV, a może jednak XXVI (zdania w tym zakresie nawet wśród wybitnych prawników są podzielone) Krajowym Zjeździe Delegatów Polskiego Związku Łowieckiego kurz już opadł i przyszedł czas na refleksję. W przestrzeni publicznej pojawiło się na jego temat wiele opinii zarówno tych pochlebnych, jak i krytycznych. Wobec powyższego – jeśli pozwolicie – i ja dołożę swą skromną cegielkę moich przemyśleń na jego temat.

Aby uprzedzić domysły wielu powiem – a właściwie napiszę – że nie zamierzam rozwozić się na temat nowelizacji uchwalonego, choć jak zapewne wiecie, niemającego szans na wdrożenie Statutu PZŁ, bowiem podsekretarz Dorożała na piśmie odczytanym na zjeździe zapowiedział, że go nie podpisze. Abstrahując od tego, że i tak najprawdopodobniej wkrótce, w przypadku nowelizacji lub zmiany prawa łowieckiego, trzeba będzie stworzyć nowy Statut PZŁ. Dla mnie zjazd ten pozostawił pewien niedosyt (pozostałe, na których byłem, również), gdyż nie odniósł się w żaden sposób do istotnych problemów, z jakimi na co dzień borykają się myśliwi w kołach, z jakimi mierzy się nasz związek i całe polskie łowiectwo. Nie usłyszałem nic na temat kluczowych tematów dotyczących łowiectwa zawartych choćby w pierwszych paragrafach obecnie obowiązującej ustawy „Prawo łowieckie” – tak jakbyśmy zapomnieli, co jest głównym celem naszego zrzeszenia. Nie było dyskusji na temat wyzwań, jakie stawia przed nami myśliwymi XXI wiek i jaką stworzyć strategię, która obroni polskie łowiectwo przed zapędami naszych

przeciwników. Tymczasem cenny zjazdowy czas poświęciliśmy na uchwalenie nowego medalu, logotypów dla sądów łowieckich i rzeczników, a także na głosowania w sprawie przyznania godności Honorowego Członka PZŁ dla 26 osób – tak jakby były to kluczowe i niecierpiące zwłoki sprawy naszego zrzeszenia. W tym miejscu przypominają mi się smutne i zarazem dobitne frazy zawarte w Pieśni o spustoszeniu Podola (Księgi wtóre, Pieśń V) Jana Kochanowskiego:

*„Wsiadamy? Czy nas półmiski trzymają?
Biedne półmiski, czego te czekają?”*

Czyżby dla nas – obecnych działaczy PZŁ – najważniejsze były zaszczyty, odznaczenia i medale? Jeżeli tak jest, to w tym miejscu, ku przestrodze, pozostaje mi przytoczyć raz jeszcze słowa naszego wielkiego rodaka:

*„Ciesz mi ten rym: Polak mądry po szkodzie;
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.”*

Wasz Redaktor Naczelny



**dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK**
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
gospodarki łowieckiej

Zmiana obyczajów nie tylko myśliwskich

Andrzej Tomek



Przed około 15-20 laty, gdy jeszcze nie byłem na emeryturze i pracowałem jako nauczyciel akademicki na Wydziale Leśnym (nawiasem pisząc nie wiem, dlaczego współcześnie zarówno w Poznaniu jak i w Warszawie, a także w Krakowie są wydziały leśne a nie lasowe, gdyż we Lwowie przed wojną pisano i mówiono lasowy, ponieważ rozróżniano w języku polskim znaczenie słów lasowy i leśny; lasowy to znaczyło, że o lesie np. nauka, natomiast leśny znaczyło, że w lesie np. kwiat lub grzyb) podczas ćwiczeń terenowych przewidzianych w Puszczy Dulowskiej studenci mieli się zapoznać z elementami zagospodarowania łowisk (poletka łowieckie, pasy zaporowe, paśniki, wodopoje, karmiska, nęciska, ambony myśliwskie). W tym celu przewidziano kilkukilometrowy przemarsz, by zobaczyć i omówić znaczenie i działanie tych rozmaitych urządzeń. Umówiłem się z całą kilkunastoosobową grupą studentów (kobiet i mężczyzn) na dworcu kolejowym, gdyż w owym czasie studenci na ogół nie dysponowali samochodami, a uczelnia nie zapewniała autokarów jak to ma miejsce obecnie. Po przyjeździe na miejsce około godziny ósmej, przed wyjściem do lasu, sprawdziłem listę obecności i uprzedziłem, że powrót pociągiem przewiduję około godziny piętnastej. Wtedy jedna ze studentek zapytała, czy na przewidzianej trasie zapewniłem dostęp do toalet w postaci chociażby

tak zwanych toi toi. Zdumiałem się takim pytaniem, gdyż wcześniej, przez prawie trzydzieści lat, prowadząc rozmaite zajęcia ze studentami stacjonarnymi lub zaocznymi, a także wykonując zespołowo rozmaite prace terenowe, nigdy ani takiego problemu ani pytania nie było. Po prostu ludzie (zarówno mężczyźni jak i kobiety) w przypadku pójścia za potrzebą odłączali się na chwilę od grupy i w ustronnym miejscu załatwiali swoje sprawy pod osłoną leśnej roślinności. Początkowo nie wiedziałem co odpowiedzieć, a tymczasem studentka poinformowała mnie, że jeśli tego nie przewidziałem, to ona a także jej koleżanki odmawiają udziału w takich ćwiczeniach i złożą na mnie skargę do władz uczelni. Nie miałem innego wyjścia i musiałem na bieżąco zmodyfikować plan przemarszu tak, by przechodzić obok gajówki, gdzie znani mi gospodarze mogli udostępnić stojący za zabudowaniami drewniany wychodek (zapewne dlatego taką miała nazwę ubikacja, gdyż za każdym razem trzeba było wyjść do niej z domu).

Incydent dotyczący niezapewnienia w lesie ubikacji dla studentów podczas ćwiczeń terenowych ujawnił mi bardzo wyraziście zmiany obyczajów oraz postaw młodzieży jakie nastąpiły podczas mojego życia. Gdy w latach 60. XX wieku pojechałem z kilkunastoosobową grupą studentów (obojga płci) jako opiekun studentckiego obozu naukowego (będąc niewiele starszy od

uczestników), do ówczesnego rezerwatu łosi Czerwone Bagno w Dolinie Biebrzy (obecnie jest tam Biebrzański Park Narodowy), to nikomu nawet nie przyszło do głowy, by pytać o wygodkę lub o toaletę. Po prostu wszyscy wiedzieli, że jadą do lasu i o wszystko to, co jest potrzebne do higienicznego i zdrowego życia trzeba sobie samemu zadbać. A więc jadąc na ten obóz poza wyposażeniem osobistym i potrzebnym do prowadzenia zaplanowanych badań lub obserwacji łosi oraz namiotami i kocami (nie każdego studenta było stać na śpiwór) należało zabrać takie wyposażenie jak: kociołki do przygotowywania posiłków i gotowania wody na ognisku dla całej grupy, miskę dla każdego uczestnika, łopatę do wykopania latryny i zapas zapalek do rozpalenia ogniska (zapalniczek gazowych jeszcze nie było, a benzynowe były mało przydatne w warunkach terenowych). Przyjechalśmy do Rajgrodu i po załadowaniu naszych bagaży na wóz ciągniony przez konie po kilkunastu kilometrach polnej drogi (obecnie są tam wyasfaltowane jezdnie) przedostaliśmy się przez pola, lasy i podmokłe bagna na południowy brzeg jeziora Tajno, gdzie po uprzednim zgłoszeniu pobytu u sołtysa wsi Orzechówka założyliśmy kilkutygodniowy biwak oddalony od miejscowości i od sklepów. Stamtąd było względnie blisko do miejsc obserwacji łosi w ich ostojach na bagnach biebrzańskich, ale wodę do picia i przyrządzania posiłków można było w dostatecznej ilości zaczerpnąć z jeziora, gdzie odbywało się również poranne i wieczorne mycie oraz zażywano letnich kąpiele. Po wodę na kawę i herbatę warto było popłynąć pontonem na środek jeziora, gdyż po zaczerpnięciu jej w pobliżu brzegu trzeba było usuwać rozmaite wodne organizmy i glony, a nawet małe rybki, co najłatwiej było wykonać po zagrzaniu wody. Wówczas te wszystkie żyjątka wypływały do góry i można je było zebrać łyżeczką.

Te trudne w dzisiejszym mniemaniu warunki były dla mnie nie tylko atrakcją, ale wydawały mi się normalnym sposobem obserwacji i współżycia z ojczyzną przyrodą. Na wspomnianym obozie studenckim w grupie życzliwych i wzajemnie pomagających sobie osób były one relaksem i pożytecznym sposobem spędzania wakacji. Wydawało mi się to całkiem normalne, gdyż jako student nabrałem wprawy w czymś, co dziś niektórzy nazywają zielonym survivaliem, a nawet sztuką przetrwania, chociaż ja wówczas wcale tego tak nie odbierałem.

W połowie lat 60. XX wieku, gdy byłem jeszcze studentem, lecz już zostałem myśliwym i uzyskałem pozwolenie na broń myśliwską,

bardzo chciałem zapolować na dzikie kaczki. Napisałem wówczas do nieznanych mi łowczych powiatowych w Giżycku i Węgorzewie (była niegdyś taka społeczna funkcja w Polskim Związku Łowieckim) prośby o umożliwienie mi polowania na dzikie kaczki w Krainie Wielkich Jezior, gdyż jestem z Małopolski i w znanym mi obwodzie łowieckim tych ptaków nie ma (pojawiać się mogą nieznacznie na przelotach), a studiuję leśnictwo i pragnę zobaczyć pierwszy raz w życiu krainę jezior i siedlisk różnych gatunków ptactwa wodnego i błotnego. Obaj łowczowie mi odpisali zachęcając do przyjazdu we wrześniu, a więc już po pierwszych sierpniowych polowaniach miejscowych myśliwych i po wyjeździe większości letników. Po przyjeździe do Giżycka ze strzelbą, namiotem i małym pontonem zgłosiłem się pod adres korespondencyjny, tam się przedstawiłem i po sprawdzeniu dokumentów łowczy mi powiedział, że może mi wystawić zezwolenie na tydzień w obwodzie dzierzawionym przez jego koło łowieckie. Przyjrzyj mi się bacznie i być może obawiając się jakiegoś nieznanego młodzieńca lub ewentualnego kłusownictwa powiedział, że polować mogę tylko na jednej wyspie i w jej otoczeniu na jeziorze Kisajno. Wysepkę mi pokazał, lecz pojawił się problem: jak się do niej dostać. Na brzegu jeziora natknąłem się jednak na studentów (obojga płci) przygotowujących się do rejsu jachtem zwanym Omega. Na moje pytanie, czy nie podwieźliby mnie na wyspę odpowiedzieli, że chętnie to zrobią. Moje wyjaśnienia, że jadę sam na polowanie i na ryby przyjęli nie tylko ze zrozumieniem, ale i z pełną akceptacją. Umówiliśmy się więc, że gdy będą wracać tędy za tydzień, to zabiorą mnie z powrotem. Na wyspie nie było przystani, ale w lecie nie stanowiło to problemu. Gdy zbliżyliśmy się do wyspy, a głębokość wody sięgnęła około metra wyskoczyłem z łodzi ze strzelbą i moimi bagażami. Łódź odpłynęła, a ja przez trzciny rosnące w wodzie dobrnąłem do brzegu.

Wyspa okazała się owalna i niewielka (miała około 100 metrów średnicy), na środku porośnięta niekoszoną trawą, a na brzegu nie pielęgnowanymi olchami, co mnie ucieszyło, gdyż drzewa te przez cały okres mojego pobytu na wyspie zapewniały mi materiał (w postaci starych zeschłych gałęzi) na ognisko. Zacząłem przygotowywać biwak od rozbicia namiotu i złożenia w nim strzelby, wędkę oraz pozostałego ekwipunku, a następnie przed namiotem rozpałem ogień, by przygotować sobie posiłek. Wtedy się okazało, że w pośpiechu zapomniałem kupić chleb oraz zrobić zapas żywności.

Miałem ze sobą jedynie jakąś kanapkę ze śniadania. Musiałem więc zdobyć żywność na miejscu i następnie przyrządzić sobie posiłek. Już pierwszego popołudnia strzeliłem łuskę, ale okazało się, że nie wziąłem soli. Przez cały tydzień jadłem więc złowione szczupaki, zagryzając je nieposolonymi dzikimi kaczkami lub odwrotnie posiłkami było mięso dzikich kaczek lub łyszek, zakąszane upieczonymi lub ugotowanymi, lecz niesolonymi szczupakami i płotkami. Naprzeciw namiotu wyrwałem około metrowej szerokości pas trzciny, by mieć bezpośredni dostęp do wody w celu codziennego mycia i kąpieli, a także nabierania jej do picia z głębszego miejsca. Ponieważ wokół wyspy w trzcinach było sporo szczupaków, więc gdy udało mi się złapać ich więcej niż potrzebowałem do zaspokojenia głodu to złapanym rybom przebijając skórę dolnej szczęki, by tamtędy przeciągnąć sznurek umożliwiający przywiązanie szczupaków do kijów wbitych w dno obok miejsca wybranego do pobierania wody pitnej.

Przez tydzień nikogo nie widziałem ani nie odczuwałem potrzeby rozmowy. Po tygodniu przyплыли jachtem studenci, by mnie zabrać do Giżycka. Zaprosiłem ich do ogniska i poczęstowałem czterema szczupakami przywiązanymi do kijów wbitych w dno jeziora. Widziałem, że studenci byli poczęstunkiem zaskoczeni (na szczęście któryś z nich miał sól). Przy ognisku z aprobatą słuchali moich relacji z polowań, a ja ich wrażeń z rejsu, co spowodowało znaczne opóźnienie naszego powrotu. Ten pobyt nauczył mnie nie tylko samodzielności i radzenia sobie w rozmaitych okolicznościach, ale i dał sporo satysfakcji. Dziś takie wakacje w samotności z możliwością polowania i wędkowania nie tylko nie są – jak sądzę – praktykowane, ale także nie można by było uzyskać na nie zgody, szczególnie na jeziorze Kisajno, gdzie wszystkie wyspy zostały objęte ochroną jako rezerваты przyrody, bez możliwości przebywania i biwakowania poza miejscami wyznaczonymi.

Po upływie niemal pół wieku, gdy jako senior byłem na naukowym obozie studenckim nad stawami Echo w Roztoczańskim Parku Narodowym, gdzie obserwacje i badania odnosiły się do jeleniowatych, przypominały mi się podobne obozy w przeszłości. Ten obóz nie miał jednak związku z polowaniami, ze względu na chronione obszary parku narodowego. Studenci (dziewczyny i młodzieńcy) mieszkali w wynajętej kilkupokojowej kwaterze, wyposażonej w łazienki z umywalkami i sedesami oraz odbiorniki radiowe i telewizory, a zatem warunki pobytu i pracy były całkowicie odmienne. Jeśli wolne chwile

i wieczory nad jeziorem Tajno obfitowały w rozmaite zabawy na wolnym powietrzu lub śpiewy przy ognisku, to nad stawami Echo przeważały wspólne biesiady przy stole z opowieściami i rozmaitymi gawędami lub opowiadaniem kawałów. Rzadko natomiast śpiewano studenckie piosenki. Czasem dyskusje dotyczyły zagadnień myśliwskich i można było odnieść wrażenie, że nie wszyscy uczestnicy popierali polowania i akceptowali myśliwych. Później sobie uświadomiłem, że modyfikacje w kolejnych obozach (w Puszczy Augustowskiej, w Słowińskim Parku Narodowym, na pojezierzu Wałęckim, w ieszczadach, w Górcach, w Beskidzie Niskim i na Roztoczu) następowały z roku na rok w sposób niemal niezauważony, kolejno wykorzystując pojawiające się możliwości wygodniejszego funkcjonowania oraz zdobycze techniki rezygnując tym samym z bezpośrednich kontaktów z naturą i z prymitywnego funkcjonowania, aż doszło do takiej zmiany w mentalności i wymaganiach, że byłem wielce zaskoczony, gdy zapytano mnie o toalety na ćwiczeniach terenowych. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że w czasie mojego życia nastąpiła ogromna metamorfoza codziennego bytowania, której nie byłem w stanie przewidzieć podczas lat młodzieńczych. Można to zauważyć niemal na każdym kroku i miejscu. Na przykład: jeśli za moich młodych lat telefoniczną rozmowę międzymiastową zamawiało się za pośrednictwem centrali i od życzliwości telefonistki mógł zależeć czas oczekiwania sięgający kilku lub kilkunastu godzin (w przypadku rozmowy międzynarodowej oczekiwałem na połączenie 2 dni), to tego nie można nawet porównywać z obecnym wykorzystywaniem telefonu komórkowego. Oczywiście nie wszyscy za tymi przeobrażeniami nadążają i często osoby starsze mają trudności w posługiwaniu się na przykład współczesnymi programami komputerowymi. Wraz z gruntownymi zmianami stylu życia wynikającymi z przemian cywilizacyjnych, szczególnie z powszechnego wykorzystania technik komputerowych, nastąpiły także przeobrażenia systemu wartości i norm zachowania, odnoszące się także do łowiectwa i myśliwych. Przed półwieczem mogłem jechać pociągiem na Mazury z bronią myśliwską i spotykałem się ze zrozumieniem i aprobatą przypadkowo spotkanych studentów, natomiast współcześnie istnieje obawa, że taka podróż i prośba o przysługę mogłaby spowodować niechętne lub nawet agresywne zachowania ze strony napotkanej młodzieży podatnej na medialne narracje nieprzychylnie myśliwym lub wręcz wobec nich wrogie.

Na marginesie przemian cywilizacyjnych oraz zauważonych zmian w postępowaniu i poglądach studentów przypominały mi się teksty zapisane w książce autorstwa Jana Bielatowicza pt. „Książeczka – opowiadania starego kaprała” (wydanej w Londynie w 1964, a Polsce przez PAX dopiero w 1986 roku), w której autor, będący emigrantem z okresu II wojny światowej, nie powrócił do Polski jako żołnierz armii Andersa i na obczyźnie pisał z humorem nostalgiczne wspomnienia, w tym również o swojej babci. Była ona nauczycielką, a jej młodość i lata aktywności w tej części dzisiejszej Polski, która wtedy zwana była Galicją, przypadały na okres panowania cesarza Franciszka Józefa. W ostatnich latach swego życia (już w Polsce), będąc na emeryturze, mieszkała w Tarnowie i Krakowie. Z czasów młodości zachowała poglądy i obyczaje, które dziwiły lub śmieszyły jej wnuki.

Warto więc przypomnieć niektóre wspomnienia wyżej wymienionego autora: „Ostatnie powiewy romantyzmu wymiotły babcię razem z rodziną ze wsi do miasta, a potem życie ją hartowało. Życie od kaganka po neon elektryczny, od dagerotypu do filmu dźwiękowego, od karety do samochodu, od strusich piór po apaszkę, od krynoliny do spódniczki sportowej. Ale tym wszystkim zmianom babcia z grymasem przyglądała się ze swojego okna i stawała się coraz bardziej bezbronna i obca wobec natłoku nowości.” Na tym tle utrwalone wcześniej przyzwyczajenia okazały się dziwaczne: „Babcia rzadko wychodziła poza próg domu, raz czy dwa razy wybrała się na koncert, ale ani razu nie była w kinie szydząc: Któż by takie głupstwa oglądał? Kuchenkę gazową uważała za złośliwy figiel diabelski. Nie tykała też telefonu. Do mycia używała szarego mydła i szczotki ryżowej wroga wszelkim pachnidłom i eliksirom. W kuchni babcia przyjmowała posłańców, drwali, baby z nabiałem i jagodami, szopkarzy i wróżące Cyganki, a stróż tutaj składał życzenia noworoczne. Do jadalni dopuszczała urzędników podatkowych, listonosza, bieliźniarki i modniarki, natomiast do salonu zapraszane były tylko grube ryby, a do pokoju babcinego wyłącznie rodzina.” Opis mycia szczególnie mnie zainteresował, gdyż obecnie nie do pomyślenia byłaby stosowana wówczas praktyka: „Kąpiel raz na miesiąc była wielkim wydarzeniem rodzinnym. Wrzątek wlewało się do ogromnej drewnianej balii na pranie dodając, ile trzeba, zimnej wody. Obrzęd zaczynały wieczorem dzieci, potem kolejno szli starsi.”

Moje wspomnienia z przeszłości w kontekście wspomnień Bielatowicza nasunęły mi pytanie: Czy w każdym pokoleniu następowały

tak duże zmiany obyczajów i sposobów postępowania? Wydaje się, że tak było, iż nestorzy nie zgadzali się mentalnie z następującymi zmianami, a dziadkowie nie rozumieli postępowania wnuków i stąd zapewne pojawiły się teorie o konflikcie pokoleń. Tu nasunęło mi się kolejne pytanie: czy takie zmiany będą nadal występować? W ślad za tym pojawiła się myśl o tym, że nie wiem i nawet nie mogę sobie wyobrazić jak będzie wyglądało życie i postępowanie społeczeństw w bieżącym stuleciu, ani jak będą się przedstawiać obyczaje i poglądy moich wnuków, w tym również odnoszących się do łowiectwa. Najprawdopodobniej nie będę się z nimi zgadzał ze względu na zjawisko konfliktu pokoleń, ale wyrażam nadzieję, że osoby z następnego pokolenia będą mogły uprawiać myślistwo związane z egzystencją człowieka od zarania dziejów.



Andrzej Tomek
Nauczyciel akademicki
w Krakowie i w Poznaniu
(emerytowany profesor), biegły
sądowy, współautor lub autor 224
opracowań,
w tym podręcznika „Łowiectwo”
i 9 książek naukowych, odznaczony
Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym
i Medalem Za Zasługi Dla Łowiectwa
Krakowskiego



Perspektywy zarządzania populacją wilka w Polsce

Henryk Okarma



Wilki były kiedyś najszerzej rozpowszechnionymi na świecie dużymi dzikimi ssakami zasiedlając praktycznie całą Amerykę Północną i Eurazję. Do początku XX wieku zostały wytępione na większości pierwotnego arealu występowania gatunku, a głównym tego powodem było zabijanie przez wilki zwierząt hodowlanych oraz obawa przed atakami na ludzi. Jednak od końca ubiegłego wieku drapieżniki te powracają na tereny, na których kiedyś występowały i zjawi-

sko to występuje zarówno w Ameryce Północnej jak i w Europie. Widzimy to także bardzo wyraźnie w Polsce. Jest to niewątpliwie efektem długoletniej ochrony prawnej tego gatunku i budowania w społeczeństwach pozytywnego obrazu tych zwierząt, ale także ogromnej produktywności i potencjału dyspersyjnego wilków.

Można się spodziewać, że przy dalszym braku kontroli populacji tego gatunku na większości obszaru naszego kontynentu drapieżniki te będą da-

lej zwiększały areal swojego występowania i liczebność w Europie, będą mogły żyć praktycznie wszędzie. Wilki bowiem doskonale funkcjonują żerując na różnych gatunkach dzikich kopytnych, ale także zwierzętach hodowlanych czy zjadając różnego rodzaju odpadki, gdyż pokarm ten jest powszechnie dostępny. Trzeba pamiętać, że liczebność wilków jest determinowana przez liczebność ofiar, a jedynym czynnikiem realnie ograniczającym populację tych drapieżników jest kontrola liczebności przez człowieka (w sposób legalny oraz

nielegalny). Czynniki społeczne w populacji wilków, np. terytorializm mają jedynie znaczenie dodatkowe w kontrolowaniu liczebności tych zwierząt.

Odbiór społeczny wilka jest praktycznie taki sam we wszystkich społeczeństwach państw gospodarczo rozwiniętych; tak samo jest w Polsce, to znaczy istnieje głęboki podział między mieszkańcami miast i mieszkańcami wsi. Środowiska miejskie mają bardzo pozytywne nastawienie do tego drapieżnika, często go wręcz idealizują, traktują jako symbol ochrony przyrody i nie dopuszczają nawet możliwości dyskusji na temat ograniczania jego liczebności. Tymczasem społeczności wiejskie czy też myśliwi, którzy odczuwają problemy związane ze zwiększającą się populacją wilka, są nastawiani negatywnie do jego ścisłej ochrony.

Należy do znudzenia przypominać, że wilk nie jest już gatunkiem zagrożonym. Był nim jeszcze w latach 80. XX wieku, ale dzięki prawnej ochronie oraz działaniom edukacyjnym jego populacje na całym świecie dynamicznie się rozwijają, dlatego Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) klasyfikuje go jako tzw. gatunek najmniejszej troski (ang. least concern). Jednak gremia ochroniarskie ciągle epatują opiniami o konieczności ratowania tego gatunku. Skoro nie da się już określić całego gatunku jako zagrożonego, wyróżniają one poszczególne populacje, które ponoć ciągle wymagają szczególnej troski. Tak na przykład wydzielono, bez żadnych biologicznych podstaw, tzw. centralnoeuropejską populację wilka, która obejmuje większość nizinnego obszaru Polski oraz Niemcy.

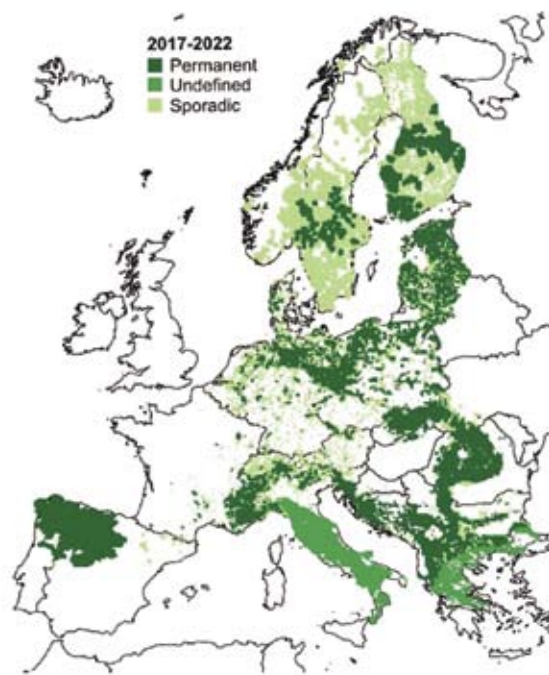
Najważniejszym obecnie problemem w skutecznej ochronie gatunku nie jest, jak to było uprzednio, odwracanie negatywnych trendów w lokalnych populacjach tych drapieżników, tylko zarządzanie ich dynamicznie odnawiającymi się populacjami. Wymagać to będzie sięgnięcia po tak niepopularne wśród „głębokich ochroniarzy” narzędzia jak strefowanie, wycofywanie z listy gatunków chronionych i kontrola liczebności populacji. Całe światowe doświadczenia zebrane w ciągu ostatnich dziesięcioleci wskazują jednoznacznie, że nie ma jednak innej drogi, aby zapewnić temu gatunkowi bezpieczny byt we współczesnym świecie zdominowanym przez człowieka. Koncepcja koniecznej interwencji w wilcze populacje wymaga zasadniczej zmiany u tych, którzy uznają wilka za symbol walki o ochronę przyrody, zwierzę o specjalnych prawach wśród wszystkich innych zwierząt, a każdego osobnika traktują jako indywidualną nieocenioną wartość.

Wybiegając w przyszłość, jeżeli wilki będą żyły praktycznie wszędzie, musimy zadać sobie dwa najważniejsze pytania: (1) jakie problemy wtedy się pojawią (one już teraz są częściowo obecne)

i (2) jakich reakcji ludzi w stosunku do wilków można się wtedy spodziewać? Nie ulega żadnej wątpliwości, że akceptacja społeczna jest bezdyskusyjnie najważniejszym czynnikiem, który będzie decydował o losie wilka w świecie zdominowanym przez człowieka. Część środowisk podkreśla wartość gatunku w przyrodzie, np. poprzez obniżanie liczebności kopytnych – przez co zmniejszają się szkody w uprawach rolnych i leśnych i jest mniej kolizji drogowych oraz poprzez odtworzenie pierwotnego układu drapieżnik – roślinożerca, dzięki czemu powraca potencjalnie kaskadujący efekt troficzny w całym ekosystemie, chociaż ten ostatni efekt jest silnie kontestowany. Istotna dla nich jest także kulturowa i estetyczna wartość tego gatunku. Jednak inni wykazują zdecydowanie mniejszą akceptację tego drapieżnika, przede wszystkim z powodu zabijania zwierząt hodowlanych (rolnicy), zabijania dzikich ssaków kopytnych (myśliwi), zabijania psów domowych (mieszkańcy terenów wiejskich), czy narastających obaw o bezpieczeństwo ludzi (możliwość agresji w stosunku do człowieka).

W Europie wilki rekolonizują kolejne kraje, bytują już nawet w Danii i Holandii (ryc. 1). Wynika to z kombinacji wielu czynników, m.in. ochrony prawnej, zwiększającej się liczebności dzikich ssaków kopytnych oraz zmniejszającego się zagęszczenia ludności wiejskiej.

Fakt, że w Europie, o wielkości zaledwie połowy 48 stanów USA (nie licząc Alaski) i dwukrotnie wyższym zagęszczeniu ludności, bytuje co najmniej 2-razy tyle wilków niż tam, wykorzysty-



Ryc. 1. Występowanie wilków w Europie w okresie 2017-2023. Źródło: Kaczemski i in. 2024

wany jest przez część europejskich naukowców do forsowania tezy, że wilki mogą zgodnie współegzystować z człowiekiem. Źródłem tego jest stwierdzenie z pracy Chapron i in. (2014): „Sytuacja w Europie pokazuje, że duże drapieżniki i ludzie mogą współdzielić to samo siedlisko”. Oczywiście, jest to teza niezwykle chwytliwa dla środowisk, które sprzeciwiają się jakiegokolwiek ingerencji w odradzające się populacje wilków i trafia w oczekiwania sporej części europejskich społeczeństw. Nie wytrzymuje ona jednak konfrontacji z twardymi faktami.

Coraz częściej pojawiają się informacje, że w Europie (ale także są takie doniesienia z Ameryki Północnej) wilki coraz bardziej zmniejszają dystans do człowieka, tracą lęk przed człowiekiem, co jest oczywiście efektem bytowania coraz większej liczby tych drapieżników na terenach gęsto zasiedlonych przez ludzi. Dotychczas takie stwierdzenia, które były wysuwane przez myśliwych, dyskredytowano i wyśmiewano, przedstawiając je jako nieudolną próbę chęci ponownego polowania na wilki. Ostatnio jednak nawet środowiska naukowe sprzeciwiające się ograniczaniu liczebności wilków, podnoszą konieczność odtworzenia u wilków lęku przed człowiekiem jako sposób przestrzennego i czasowego oddzielenia wilków i człowieka, aby zmniejszyć prawdopodobieństwo ataków na ludzi. Jednak ciągle rozwiązanie najprostsze, sprawdzone przez dziesiątki lat, czyli kontrolowane ograniczanie liczebności wilków przez odstrzał, jest przez nich krytykowane. Twierdzi się, że kontrola liczebności populacji wilków powoduje poważne zaburzenia funkcjonowania ich populacji i struktury socjalnej grup wilczych i wchodzi w konflikt z europejskim prawodawstwem.

Ataki wilków na ludzi są bardzo rzadkie, tym niemniej zdarzają się. W Stanach Zjednoczonych całą kampanię ochrony wilka zbudowano na stworzeniu pozytywnego wizerunku społecznego tego gatunku, bazując na stwierdzeniu: „Nigdy nie było udokumentowanego przypadku, aby zdrowy dziki wilk zaatakował człowieka w Ameryce Północnej”. Obecnie już się go nie używa, ponieważ w 2005 r. młody mężczyzna został zabity przez wilka w Point North Landing (Saskatchewan, Kanada), a w 2010 r. młoda kobieta padła ofiarą wilków podczas uprawiania joggingu w pobliżu Chignik (Alaska, USA). W Indiach, w prowincji Uttar Pradesh tamtejsze wilki, mimo że są znacznie mniejsze niż nasze, dość często zabijają dzieci. Ostatnie takie przypadki były tam w 2024 roku. W Europie w drugiej połowie XX wieku udokumentowano 21 ataków zdrowych wilków, z czego 4 zakończyło się śmiercią człowieka.

W Polsce w ostatnich kilkunastu latach także miały miejsce przypadki agresji wilków w stosunku do ludzi, jednak są one skutecznie bagatelizowane lub nawet wyśmiewane zarówno przez organizacje pozarządowe jak i Generalną Dyрекcję Ochrony Środowiska. Twierdzi się, że nie były to ataki, gdyż nie doszło do bezpośredniego kontaktu fizycznego, a także że były one dziełem osobników, które były wychowywane przez ludzi, chociaż nie ma na to żadnych dowodów. W drastycznym przypadku robotników leśnych koło Brzozowa w 2021 roku ponoć młode wilki chciały tylko uzyskać od nich jedzenie, gdyż dorosłe osobniki z tej watahy zostały zabite przez myśliwych. Trzeba jednoznacznie powiedzieć, że:

- twierdzenie, że wilk nie jest niebezpieczny dla człowieka nie jest prawdą;
- należy przyjąć do wiadomości fakt, że wilk jest dużym dzikim zwierzęciem kierującym się instynktem, potencjalnie groźnym dla człowieka;
- przypadki agresji w stosunku do człowieka są bardzo rzadkie, jednak się zdarzają;
- większość z udowodnionych przypadków niesprowokowanych ataków wilków na ludzi były dziełem osobników, które z powodu przyzwyczajenia nie bały się człowieka.

Europa jest jednym z najgęściej zaludnionych obszarów świata i rosnąca populacja wilków w nieunikniony sposób będzie prowadziła do coraz większej liczby interakcji między wilkami i ludźmi. Na porządku dziennym są już doniesienia o wilkach bytujących na obrzeżach wielkich miast, polujących w czasie dnia między zabudowaniami, czy atakujących psy na podwórkach. Ponieważ wilki coraz częściej spotykają ludzi, niektóre osobniki nieuchronnie przyzwyczajają się do człowieka, co w efekcie końcowym może prowokować ataki.

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że ograniczanie liczebności wilków nie jest sprzeczne z ich ochroną. Według „Manifestu ochrony wilka” („Manifesto on wolf conservation”) przyjętego przez Grupę Specjalistów Wilka IUCN w 1973 r. i później kilkakrotnie uaktualnianego stosownie do zmian w statusie gatunku, postaw społecznych i technik gospodarowania, działanie takie może stać w konflikcie z ich ochroną tylko wtedy, jeżeli kontrola liczebności trwa przed dłuższy okres, na masową skalę (bez ograniczeń) i nie jest uzasadniona biologicznie. Wszystkie amerykańskie plany odbudowy populacji wilków uznawały, że pewna kontrola liczebności tych drapieżników jest konieczna, aby zapewnić równowagę i przez to uzyskać lokalne wsparcie dla rekolonizacji przez wilki większych obszarów. Podobnie w Europie – ponowne zasiedlenie kontynentu przez te drapieżniki może w końcowym rozrachunku za-

leżeć od eliminacji migrujących osobników z gęsto zaludnionych obszarów rolniczych.

Nie wszyscy, niestety, chcą zaakceptować pogląd, że w środowisku tak silnie zdominowanym przez człowieka jakim jest Europa, zarządzanie populacją wilka wymaga czegoś w rodzaju strefowania, czyli po pierwsze wyznaczenia obszarów (jednostek) zarządzania stosownie do intensywności konfliktu człowiek-wilk, a następnie administracyjnego narzucenia każdemu z tych obszarów takiego sposobu zarządzania populacją, który zminimalizuje zarówno konflikt wilka z człowiekiem, ale także konflikty między samymi ludźmi, pomiędzy poszczególnymi grupami prezentującymi różne wartości środowiskowe. Tak jak to bowiem stwierdzono już sporo lat temu: „Nie ma żadnych magicznych wzorców czy rozwiązań w ochronie dużych drapieżników, tylko mnóstwo, mniej lub bardziej akceptowalnych i często kontrowersyjnych, kompromisów”.

Szybko postępująca rekolonizacja przez wilki zachodniej części naszego kontynentu, narastające problemy ze szkodami wśród zwierząt hodowlanych oraz niezadowolenie społeczności wiejskich były powodem kompletnej zmiany na scenie politycznej Europy w stosunku do wilka. 25 września 2024 r. ambasadorowie państw Unii Europejskiej poparli projekt wniosku Komisji Europejskiej o obniżenie statusu ochronnego wilków w Europie. Przedmiotem wniosku było wystąpienie Unii Europejskiej do Stałego Komitetu Konwencji Berneńskiej o przesunięcie wilków z załącznika II konwencji (gatunki wymagające ścisłej ochrony) do załącznika III (gatunki wymagające ochrony za pomocą odpowiednich środków, w tym kontroli ewentualnej eksploatacji tak, by nie zagrażała gatunkowi). Stały Komitet Konwencji Berneńskiej zatwierdził ten wniosek 3 grudnia 2024 r., a wszedł on w życie 6 marca 2025 r. Dzień później Komisja Europejska ogłosiła rozpoczęcie procedury zmiany Dyrektywy Siedliskowej umożliwiającej obniżenie stopnia ochrony wilka, a mianowicie przeniesienie go z załącznika IV (gatunki będące przedmiotem zainteresowania Wspólnoty, które wymagają ścisłej ochrony) do załącznika V (gatunki będące przedmiotem zainteresowania Wspólnoty, których pozyskiwanie ze stanu dzikiego i eksploatacja może podlegać działaniom w zakresie zarządzania). Obecnie procedowane są kolejne kroki prawne konieczne do dokonania tej zmiany.

Trzeba także podkreślić fakt, że zarówno konwencja berneńska (1979 rok) i dyrektywa siedliskowa (1992 rok) były sporządzone w kompletnie innych uwarunkowaniach, jeżeli chodzi o wilka. Gatunek ten był obecny, nie licząc Hiszpanii i Włoch, w niewielkiej liczebności tylko we

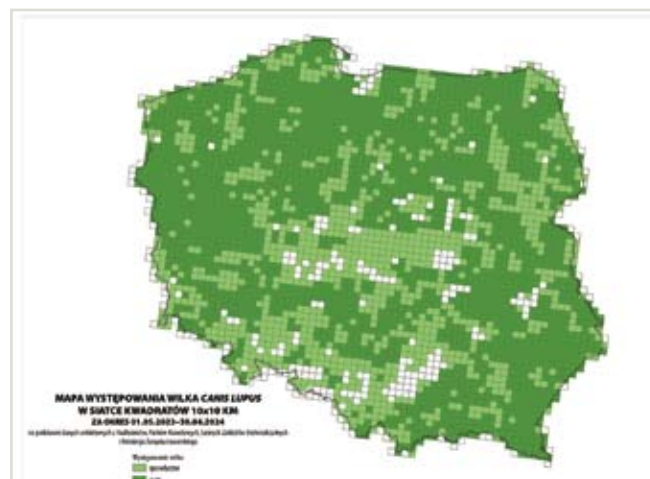
wschodniej części kontynentu. Wtedy nikomu się nie śniło, że wilki mogą być w Danii czy Holandii i powodować określone konflikty społeczne. Po obniżeniu statusu ochronnego gatunku państwa członkowskie Unii Europejskiej będą miały zdecydowanie większą swobodę w zarządzaniu u siebie populacją wilków, czyli przede wszystkim łatwiejszą możliwość kontroli liczebności tych drapieżników. Do tej pory większość państw zachod-



Ryc. 2. Państwa Unii Europejskiej, gdzie wilk jest w załączniku IV (konieczność ścisłej ochrony) i załączniku V (możliwość zarządzania). Źródło: Okarma 2019

niej Europy takiej możliwości nie miała, gdyż obowiązywał w nich restrykcyjny załącznik IV Dyrektywy Siedliskowej (ryc. 2).

Zmiany zapisów konwencji berneńskiej i obecnie procedowane w dyrektywie siedliskowej w żaden sposób nie wpływają na sytuację prawną wilków w naszym kraju. Polska, ratyfikując konwen-



Ryc. 3. Mapa występowania wilka w Polsce za okres 1.05.2023-30.04.2024 w siatce kwadratów 10x10 km.
Źródło: GIOŚ 2024

cję berneńską zgłosiła zastrzeżenie, że wilki w Polsce nie będą objęte załącznikiem II, tylko będą chronione w inny sposób. Następnie, wchodząc do Unii Europejskiej, Polska uzyskała derogację, w wyniku której wilki w naszym kraju nie są objęte załącznikiem II dyrektywy siedliskowej, tylko załącznikiem V. Tak więc ścisła ochrona wilków w Polsce nie jest konsekwencją podpisanych przez nasze państwo umów międzynarodowych, tylko efektem krajowych rozwiązań legislacyjnych.

Wilk został u nas usunięty z listy gatunków łownych w 1998 r., a formalnie został objęty ochroną ścisłą w 2001 roku. Obecnie występuje praktycznie na obszarze całego kraju (ryc. 3).

Wilki zostały uznane za jeden z pięciu gatunków objętych ochroną, za których szkody odpowiada skarb państwa. Odszkodowania za szkody w zwierzętach hodowlanych (wartość zwierzęcia, koszty leczenia weterynaryjnego, koszty utylizacji tuszy) wypłacane są przez regionalnego dyrektora ochrony środowiska (dyrektora parku narodowego). W skali kraju nie są to duże kwoty, według danych GUS w 2023 r. wyniosły 2 976 900 zł, jednak warto zaznaczyć, że z roku na rok kwota odszkodowań rośnie (w porównaniu do 2012 r. wzrosła o 77%). Poszkodowani nie są zadowoleni z odszkodowań, które otrzymują i skarżą się na wiele innych strat finansowych będących efektem zabijania przez wilki zwierząt hodowlanych, które nie są rekompensowane.

Rosnąca populacja wilków skutkuje także zmniejszającą się liczebnością łownych ssaków kopytnych. Szczególnie wyraźnie widać to w przypadku muflonów oraz danieli, których to lokalne populacje zdecydowanie się zmniejszyły. W niektórych miejscach naszego kraju także widocznie mniejsza jest liczebność jeleni i saren. Wszystko to prowadzi do rosnących napięć między myśliwymi a wilkami. Niestety, zdarzają się także przypadki zabijania wilków z broni myśliwskiej.

Na razie nic nie wskazuje, że w najbliższej przyszłości zmieni się sposób podejścia do wilka w Polsce. Według wypowiedzi Mikołaja Dorożały, wiceministra Klimatu i Środowiska oraz Głównego Konserwatora Przyrody, w naszym kraju mamy wzorcowy model ochrony tego gatunku, który powinien być przykładem dla innych krajów. Na czym on polega? Tak naprawdę jedynie na odmienianiu stwierdzenia „ściśła ochrona wilka” na wszystkie możliwe sposoby oraz bagatelizowaniu wszelkich zastrzeżeń dotyczących obecnego stanu ochrony gatunku i problemów z tym związanych. Nie mamy żadnego systematycznego ogólnokrajowego systemu monitoringu gatunku, wiemy jedynie z pewnym przybliżeniem, gdzie te drapieżniki występują, jednak ich liczebność jest kompletnie nieznana. Pan

minister twierdzi, że nie ma potrzeby wykonania np. genetycznego monitoringu liczebności, gdyż GUS dostarcza nam danych o wystarczającej dokładności. Rzeczywiście w rocznikach statystycznych są takie dane, np. 5046 wilków w Polsce w 2023 roku, ale trudno o większą bzdurę!

Według ministra nie potrzeba nam także, w przeciwieństwie do większości krajów europejskich, żadnego ramowego dokumentu, strategii ochrony i zarządzania gatunkiem, gdyż według pana i tak nie stanowiłaby ona źródła stanowienia prawa (i konkretnych decyzji), gdyż takowym jest tylko ustawa o ochronie przyrody i akty wykonawcze będące jej wynikiem. A co pan minister mówi o szkodach wśród zwierząt hodowlanych? Według jego instagramowego posta z dnia 20 lutego 2025 r. „zaledwie 0,003% stanu bydła jest zjadane w Polsce przez wilki. Bydło ginie głównie z uwagi na choroby, błędy żywieniowe, zaniedbania ludzkie, komplikacje poporodowe”. Czy nikt panu ministrowi nie powiedział, że większość bydła jest u nas utrzymywana w zamkniętych fermach, do których wilki raczej nie wchodzi? Oraz że bydło najrzadziej pada ofiarą wilków, bo głównie są to owce? A może jednak powiedział, tylko pan minister zaklina rzeczywistość?

Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zadeklarowała jednoznacznie w 2021 roku: jest i pozostanie gatunkiem ściśle chronionym! W dniu 25 marca 2025 r. pojawił się na jej stronie komunikat dotyczący wilków, w którym czytamy: „Wilk jest gatunkiem chronionym w Polsce i w całej Unii Europejskiej, a jego obecność w ekosystemie le-

śnym ma kluczowe znaczenie dla zachowania różnorodności biologicznej”. GDOŚ wyraził głębokie zaniepokojenie „rosnącą nagonką na wilki”. Zwraca uwagę, że „wilki są istotnym elementem polskiej fauny i wszelkie aktywności, które działają na ich szkodę, w tym nieuzasadnione akcje obliczone na wzbudzenie strachu, są nieakceptowalne i sprzeczne z zasadami ochrony środowiska”.

Czytając ten komunikat można odnieść wrażenie, że decydenci trwają w jakimś bycie równoległym, żyją w innym świecie niż mieszkańcy terenów wiejskich, hodowcy, robotnicy leśni, myśliwi. Idąc dalej tym tropem jestem w stanie wyobrazić sobie w niedalekiej przyszłości sytuację, że wszystkie kraje Unii Europejskiej będą w taki lub inny sposób kontrolowały u siebie liczebność populacji wilków, a w Polsce dalej będziemy kurczowo trzymali się dogmatu ścisłej ochrony tego gatunku. Obawiam się, że dopóki nie nastąpi pierwszy niepodważalny przypadek agresji wilka na człowieka, którego nie da się zbagatelizować, wyśmiać, zamieść po dywan, kiedy ktoś zostanie zabity lub poważnie pogryziony, nie zmieni się nic w podejściu do tego gatunku w naszym kraju.



prof. dr hab. Henryk Okarma
biolog, pracownik naukowy Instytutu
Ochrony Przyrody PAN i Uniwersytetu
Jagiellońskiego. Zajmuje się ekologią
zwierząt, biologią łowiecką i ochroną
przyrody. Autor licznych prac nauko-
wych i książek dotyczących łowiectwa



Mój głos w dyskusji o nowym Statucie PZŁ

Marek Kubis



Jestem myśliwym z 25-letnim stażem. To dużo i mało. Obserwuję dyskusje na temat reformy łowiectwa w Polsce z perspektywy prezesa koła, czyli z samego dołu. Mam kilka swoich uwag i przemyśleń. Po pierwsze wypadaloby, aby w tak ważnej kwestii odbyła się rzeczowa, spokojna i jak najszersza dyskusja. Niestety w moim okręgu PZŁ nic takiego nie miało miejsca. Gdy dwa lata temu wybieraliśmy przedstawicieli na Krajowy Zjazd Delegatów i do Naczelnej Rady Łowieckiej nikt nie mówił o nowym statucie.

Niestety na zjazdach okręgowych wybieramy członków NRŁ, którzy potem w ogóle nie prowadzą z nami dialogu. Tak jest ze Statutem PZŁ. Zebrało się kilku ludzi. Wybrali się między sobą i twierdzą, że wiedzą wszystko. Zero jakiegokolwiek dyskusji, ale to my na dole mamy realizować ich postanowienia.

Szanowni koledzy, tam w Warszawie reprezentujecie wszystkich myśliwych okręgu krakowskiego. Oczywiście macie swoje poglądy i ja to szanuję, ale przed tak ważnym zjazdem po-

winna się odbyć debata, na której przedstawiciele kół łowieckich mogliby przedstawić swoje uwagi. Większość z nas o Krajowym Zjeździe Delegatów i projekcie statutu dowiedziała się pocztą pantoflową. Dlaczego? Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że reforma łowiectwa w Polsce jest konieczna, ale tu przede wszystkim potrzebna jest zmiana ustawy. Nowy statut w zasadzie niczego nie zmienia.

Jeśli poważnie myślimy o reformie to należy zacząć od likwidacji 49 okręgów, a na ich miejsce utworzyć 16 zarządów wojewódzkich. Koła muszą uzyskać o wiele większą autonomię. Jeżeli w kole permanentnie brak kworum na walnych zgromadzeniach należy je rozwiązać z urzędu i powołać nowe, albo niech sami członkowie zdecydują ilu obecnych u nich tworzy kworum. Należy odejść od trofeistyki na rzecz promowania zdrowego mięsa. To ludzie doskonale rozumieją. Natomiast nie pojmują, dlaczego zabijamy najokazalsze byki i jeszcze się tym chwalimy. Na terenie Polski należy utworzyć cztery może sześć regionów hodowlanych. Nie da się prowadzić racjonalnej gospodarki na 3000 hektarów. Ja poluję na 5000 ha, w bardzo słabym, silnie zurbanizowanym obwodzie pod Krakowem, więc co mnie łączy z bardzo zasobnym łowiskiem gdzieś na zachodzie czy północy Polski?

Sto lat temu, gdy tworzone zwały się nowoczesne łowiectwa w Polsce statut to była broszura A5 zawierająca 13 stron. Dziś otrzymujemy gniota o formacie A4 liczącego 70 stron. Tak na marginesie statut Lasów Państwowych liczy 15 stron. Statut to ma być nasza konstytucja zawierająca najważniejsze ponadczasowe postanowienia. Resztę niech regulują uchwały i wewnętrzne regulaminy. Coraz więcej poluje myśliwych nieczeszonych, a projekt statutu skupia się na szczegółowym regulowaniu życia w kołach. Nasz związek zmienia się bardzo szybko. I co? Za trzy lata będziemy znowu pracowali nad nowym statutom? Nonsens. Coraz silniejsze są głosy o tworzeniu związków konkurencyjnych. W bliższej lub dalszej perspektywie do tego dojdzie. Lepiej by było, gdybyśmy w tym procesie uczestniczyli, aby zmiany nie zostały nam odgórnie narzucone, jak te w ustawie z 2018 roku. W projekcie statutu wiele miejsca poświęcono ochronie przyrody, ale nas łączy jedno, pasja do polowania. Gdybym chciał się zajmować ochroną, nota bene bardzo pięknej, salamandry plamistej to zapisałbym się do zielonych, a nie walczył z nimi od wielu lat. Miałem ich na kilku polowaniach zbiorowych to wiem o czym mówię. Jedyną instytucją, która zareagowała na mój „List otwarty”

skierowany bodajże do dwudziestu instytucji w Polsce, była „Bracia Łowiecka”.

Niestety nasze władze, te pochodzące z nadania i te z naszego wyboru, zostały zepchnięte do narożnika przez niewielką grupkę ekoterrorystów. Przyjeliście Panowie ich narrację. Naszą pasją jest polowanie. Oczywiście bardzo ważna jest kultura i tradycja łowiecka, ochrona przyrody. Sam jestem Przewodniczącym Komisji Kultury w Okręgu PZŁ, należę do Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej, ale to dlatego, że poluję, a nie na odwrót. Przypomina się wiersz Gustawa Ehrenberga „Szlachta w roku 1831”. „Gdy naród do boju wystąpił z orężem, panowie w stolicy radzili”.

Szanowni Koledzy z Naczelnej Rady Łowieckiej, mam pytanie, czy projekt statutu został uzgodniony z ministrem środowiska? Póki nie zmieni się ustawa, to on będzie go musiał zatwierdzić. Jeżeli zakwestionuje nawet jeden mały podpunkt będzie konieczne zwołanie kolejnego zjazdu. Znowu zostaną wydane setki tysięcy złotych z naszej wspólnej kasy. Ale co tam! Najwyżej podniesiecie nam składki. Nie wiem czy to prawda, że na czas zjazdu zostały zarezerwowane hotele nawet dla delegatów mieszkających w Warszawie i najbliższej okolicy?

Nam w Polsce jest potrzebna gruntowna reforma łowiectwa, a nie ciągłe pudrowanie. Jeżeli nie ma woli politycznej do takich zmian to dajmy sobie spokój z tworzeniem koślawego statutu, który nie wiadomo jeszcze jak pozmienia miłośnicie nam panujący minister.

Rząd Rzeczypospolitej chce prowadzić szkolenia obronne dla młodych ludzi. Bardzo słusznie. Jest to idealny moment, aby skutecznie zawalczyć o powrót dzieci do myślistwa. Nie wystarczy kogoś nauczyć strzelać do tarczy. On musi wiedzieć, że kula zabija. Będzie to żywe zwierzę, ale może przyjść taki czas, że będzie to ktoś, cytując poetę, „kto przyjdzie podpalić mój dom”.

Z myśliwskim Darzbór



Marek Kubis

Prezes Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale, członek Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej, Przewodniczący Komisji Kultury przy ZO PZŁ w Krakowie

Rzecz o żurawiu

Ryszard Adamus



N a naszych oczach żurawie z gatunku o dużym dystansie ucieczki, nieliczne gniazdujące na odludnych mokradłach stały się wręcz pospolite. Zająły już właściwie wszelkie nadające się do odchowania młodych biotopy, nawet małe olsy czy trzcinowiska w pobliżu ludzkich domów. Notowano nawet powtórne zajmowanie gniazda, po wykluciu młodych jednej pary

przez inną parę, która nie wywalczyła sobie w normalnym terminie arealu rozrodczego. Kolejna zmiana to zimowanie żurawi w Polsce. Jeszcze ćwierć wieku temu nieznane zjawisko teraz nasila się i żurawie w zimie można zobaczyć coraz bardziej na wschód. Oczywiście duża część naszych żurawi zimuje na zachodzie i południu Europy, a nawet jeszcze dalej, bo w pół-

nocnej Afryce, ale ocieplenie klimatu swoje robi. Żuraw jest gatunkiem borealnym i przez Polskę przebiega południowa granica jego zwartego gniazdowania, a od zachodu kończy się na wschodnich Niemczech. Jak będzie za dekadę, dwie, czy żuraw się przystosuje, a może się wycofa? Widzimy przecież jak jest z łośiem. Warunki klimatyczne się zmieniły i ten nie chce

powtórnie zasiedlić zachodniej części naszego kraju. Pierwsze zimujące żurawie w Dolnośląskim korzystały z czynnych wtedy wrocławskich pól irygacyjnych. W sezonie 2012/2013 liczył je tu Waldemar Górka. Dokonał wtedy ciekawych obserwacji – gdy temperatura była poniżej zera liczebność nocujących ptaków rosła do 1000 osobników, zaś gdy robiło się ciepłej noco-



wało ich o połowę mniej, by znów, gdy przyszedł mroz, pojawiało się ich ponownie około 1000. Prawdopodobnie w cieplejsze dni część żurawi okupowała tereny potencjalnego gniazdowania, mróz z kolei skłaniał je do noclegu w bardziej przyjaznym miejscu. To może być jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego zostają. Wysoka konkurencja o miejsca lęgowe i kto pierwszy ten lepszy. Którejś nocy przyszło mocne oziębienie, spadł śnieg, żurawie nie wyleciały, jak zwykle, o świcie, tylko znacznie później. Wtedy zobaczyłem te lecące ptaki z nogami schowanymi w piórach na brzuchu. Musiało im nieźle zimno

dokuczyć. Nie wpływało to natomiast na ich lot, te z wyprostowanymi w tył nogami i te ze skulonymi pod brzuchem leciały tak samo. To bieganie z aparatem pozwoliło mi poznać i inne tajemnice z życia żurawi. Jak wiadomo żuraw ma na ciemieniu czerwony pasek nagiej skóry, ale bywa on większy lub mniejszy. W literaturze nie znalazłem wytłumaczenia różnic wielkości a powszechnie uważano, że starsze samce, zwłaszcza te bardziej zaradne, mają tę plamę większą. Coś w tym było, bo gdy do stada kilku żurawi zbliżyła się wyjątkowo dostojnie krocząca para, to zwłaszcza jeden osobnik z pary, pew-

nie samiec, właśnie taką dużą czerwoną plamę na łebku miał i całym swoim ciałem sygnalizował, jak jest ważny i wyraźnie szukał zwady. Seria zdjęć pokazała jednak, że ta czapeczka zmieniała rozmiar – gdy rosła, to poniżej pojawiał się garbik, czyli żuraw ma jakieś mięśnie, które regulują powierzchnię czerwieni, aby sygnalizować innym osobnikom stan pobudzenia. Drugi raz sfotografowałem takie zjawisko u tegorocznego młodzika będącego jeszcze w juwenalnej szacie, w której tej czapeczki przecież nie ma. Jednak jakieś parzyste małe plamki były już wykształcone. Mniej rosły od niego, ale w szacie

dorosłej, żuraw zainicjował krótką sprzeczkę. Na zdjęciach zobaczyłem, że w porównaniu do innych w stadzie ma tę plamę powiększoną. U młodego zaś na kolejnych fotografiach można dostrzec, jak te dwie małe plamki zmniejszają się po pojedynku. Dorosłe osobniki co kilka lat wymieniają całkowicie lotki stając się w tym czasie nielotami. Normalnie kroczą w dystyngowany sposób i tylko w wypadku potrzeby wystartowania biegną, gdyż dużemu ptakowi dzięki temu łatwiej się wzbić. Ale gdy żuraw latać nie może wówczas potrafi przebiegać nogami, jak struś Pędziwiatr. Jest to trudny okres w życiu tego ptaka. Szuka wówczas ustronnych miejsc z wodą, trzcinami, gdzie czuje się bezpiecznie. Trafiłem na miejsce, które można by nazwać żurawim pierzowiskiem. Za dnia ptaki rozchodziły się po okolicy w poszukiwaniu pokarmu natomiast nocą bezpiecznie czuły się na płyciźnie na środku dużego stawu. Zbliżał się wieczór i pojedynczo lub po dwa osobniki przekraczały linię trzcin, aby przejść wodą na płyciznę i tu kolejne zaskoczenie – one pływają. Gdy dno było nieosiągalne dla nóg wówczas dość sprawnie przepływały potrzebny odcinek i gdy tylko było to możliwe, strzepywały wodę z piór. Podsumowując tę moją opowieść o żurawiu muszę przyznać, że udało mi się dokonać kilku ciekawych obserwacji mimo, że nasz bohater nie był raczej głównym celem mej fotograficznej aktywności.

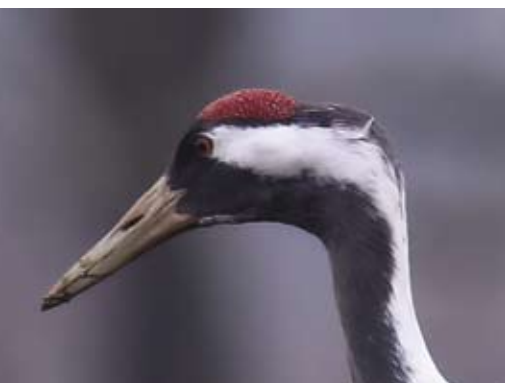
Na pewno ważny jest aparat fotograficzny, bo oglądając później zdjęcia zauważam więcej niż podczas obserwacji na żywo. Ponadto istotna jest też ciekawość przyrody, która każe podążać w teren, zadawać sobie pytania i szukać odpowiedzi. Myśliwych przecież też to dotyczy i każdy z osobna ma wiele ciekawych obserwacji, o których poza nimi wie garstka jego znajomych albo nawet nikt więcej. Czasem marzy mi się jakaś internetowa baza wiedzy, tworzona przez myśliwych – ludzi spędzających godziny w łowisku i mających często wyjątkowe spotkania, zdarzenia, również takie, które biologom się nie śniły. Nawet takie zwykłe, jak znalezienie pierwszego wyrutego kozła czy informacje, gdzie zimują żurawie, mogą podnieść naszą zbiorową wiedzę. Byłyby to dane z całego kraju i z kolejnych lat, co umożliwiłoby śledzenie jak choćby zmiany klimatyczne i działalność człowieka wpływają na biologię zwierząt. Rok temu wymieniałem się wiedzą z wytrawnym myśliwym Jerzym Uździło z Suwałk. Ja na Dolnym Śląsku widziałem pierwsze wyrutę kozły 10 marca, a u niego pojawiły się takie 25 marca, więc dwa tygodnie później. A jak było 20 lat temu i jak będzie za 20 lat?

Albo takie na czasie zagadnienie: jak Armagedon, który spotyka dziki, gdy pojawi się ASF, wpływa na sytuację np. zwierzyny drobnej? Naukowcy z IBS z Białowieży zauważyli zwiększenie ilości wykiełkowanych żołądzi do nienotowanego wcześniej poziomu. Roślinożercy nie zjedzą wszystkich siewek i dęby mają wreszcie szansę. Nieraz zastanawiałem się, jak kiedyś rozmnażały się dęby, skoro ja starszych niż rok siewek nie widzę. Może właśnie rolnictwo poprawiło warunki życia dzikom i jeleniom, gdyż tych jest więcej i dęby mają małe szanse na naturalne rozmnażanie. Wróćmy jednak do meritum. Postawię pytanie czy taka baza danych, gdzie myśliwi mogliby zgłaszać swoje spostrzeżenia powinna powstać? Jeśli odpowiedź byłaby twierdząca, to powstają kolejne pytania: jakie dane zbierać, kto byłby ad-

ministratorem itd. Myślę, że gromadzenie przez brać łowiecką wybranych danych, nie bójmy się tego słowa - naukowych - byłoby też z korzyścią dla postrzegania myśliwych przez społeczeństwo. Oczywiście jeśli coś się w tej bazie będzie działo.



Ryszard Adamus
Od dziecka miłośnik przyrody choć z wykształceniem technicznym. Łowiectwo uprawia z aparatem fotograficznym



Wycena medalowa parostków rogaczy pozyskanych w sezonie 2024/2025

Mateusz Dudzik



Trofea łowieckie towarzyszą człowiekowi od momentu, kiedy tylko zaczął polować. Wszystkie są wytworem oraz przejawem witalności i siły żywotnej ich nosicieli. Ich jakość świadczy więc o kondycji fizycznej poszczególnych osobników jak również o wartości danego siedliska, w którym żyje zwierzyna, a także o poziomie gospodarki łowieckiej w obwodzie, regionie czy też kraju.

Dla łowcy największą wartość ma trofeum, którego pozyskanie szczególnie utkwiło mu w pamięci. Wcale nie musi być to okazały złoty medalowy wieniec. Bardzo ważne jest również samo pozyskanie, pamięta się moment decyzji o strzale oraz przebieg wydarzeń po jego dokonaniu, szybkie nie sprawiające zwierzynie bólu uśmiercenie. Wszystko to wpływa na rangę

danego trofeum spośród innych pozyskanych. To osobista i zawsze subiektywna wartość trofeum myśliwskiego.

Oprócz subiektywnej oceny wartości trofeów posiadamy kryterium wartościowania wg formuły CIC. Formuły te zostały oparte w głównej mierze na obiektywnych pomiarach, które odzwierciedlać mają jakość trofeum na tle jemu podobnych nie kierując się subiektywizmem posiadacza.

Celem działania Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich Zarządu Okręgowego w Krakowie jest wycena medalowa tych trofeów, które po ocenie prawidłowości pozyskania spełniły podstawowe kryteria do jej przeprowadzenia. Komisja zebrała się 27 grudnia 2024 wyceniając parostki rogaczy oraz pozostałe trofea łowieckie dostarczone przez ich posiadaczy.

Po wnikliwej analizie w oparciu o kryteria wyceny medalowej CIC komisja przyznała parostkom rogaczy 16 medali złotych, 27 medali srebrnych oraz 40 medali brązowych. W porównaniu do sezonu 2023/2024 pozyskanie wzrosło o bez mała 80 rogaczy natomiast udział kozłów medalowych wśród odstrzelonych osobników spadł z poziomu 8,3% do 7,9%

Jak widzimy od kilku sezonów utrzymuje się trend spadkowy procentowego udziału kozłów medalowych. Tendencja ta nie wystawia zbyt dobrego świadectwa obecnym zasadom selekcji osobniczej w stosunku do kozłów.

Najwyższą liczbę punktów (147,88) uzyskały parostki kozła upolowanego na terenie obwodu 82 (KŁ „WKŁ Świt” Kraków) przez kolegę Stanisława Kazimierza Kiepurę.

W minionym sezonie najwięcej medalowych rogaczy (8) pozyskano na terenie obwodu 31 – dzierzawionego przez KŁ „Kszyk” Kraków (2x złoto, 3x srebro, 3x brąz). Siedem medalowych osobników ustrzelili myśliwi na terenie obwodu 42 - KŁ „Żubr” Kraków (2x złoto, 4x srebro, 1x brąz), 5 „imponujących” rogaczy pozyskano w obwodzie 71 – KŁ „Żubr” Niepołomice.

Najwięcej medalowych kozłów w ubiegłym sezonie św. Hubert „podarował” kol. Piotrowi Dziekanowi, który pozyskał w sumie 4 medalowe rogacze. Spośród nich 1 złoty, 2 otrzymały medal srebrny a 1 brązowy. Do zaszczytnego grona „łowców trofeów medalowych” należy zaliczyć również kolegę Mariusza Zawadzkiego, który odstrzelił 3 medalowe osobniki (2S; 1B).

Złotomedalowe parostki

L.p	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek rogacza	Masa trofeum (g)	Forma parostków	Wstępna wycena CIC (pkt)
1	Stanisław Kazimierz Kiepusa	82	5	659	6R	147.88
2	Jarosław Jazgarzyński	61	7	591	6N	145.15
3	Wojciech Palasz	53	4	637	M	144.93
4	Bartłomiej Kapcia	71	3	580	6N	142.92
5	Sławomir Zareba	33	6	630	6R	141.07
6	Andrzej Szymański	44	3	570	6N	140.05
7	Janusz Machnik	42	4	600	M	138.47
8	Krogh Jonas	31	4	543	6R	137.68
9	Łukasz Robert Turakiewicz	76	4	545	M	137.45
10	Edgar Latała	33	3	566	6N	136.00
11	Piotr Dziekan	56	3	564	M	134.23
12	Adam Platek	42	4	558	WR	132.90
13	Mariusz Dziekan	56	5	589	M	132.18
14	Peter Dam Jensen	31	6	533	6R	132.08
15	Igor Turchan	76	4	543	6R	130.18
16	Władysław Ziębiński	34	5	531	6N	130.10

■ - pozyskanie niezgodne z zasadami selekcji

Srebrnomedalowe parostki

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek rogacza	Forma parostków	Ostateczna wycena CIC (pkt)
1	Piotr Dziekan	60	3	M	128.85
2	Jerzy Chmiel	43	6	6N	127.83
3	Mariusz Zawadzki	66	6	WN	127.38
4	Daugard Frederik	42	3	6R	127.35
5	Tomasz Ciepły	59	5	6R	126.65
6	Jan Kuś	71	5	M	125.97
7	Piotr Dziekan	60	3	WR	125.25
8	Mayerhofer Benedikt	31	4	M	124.93
9	Mariusz Zawadzki	66	5	6R	124.40
10	Tomasz Morawiec	29	5	M	123.65
11	Piotr Henryk Rams	71	5	6R	122.73
12	Krzysztof Szumiec	41	5	8N	122.38
13	Wojciech Drożdż	65	5	6R	121.23
14	Szymon Czerniga	31	6	6R	119.95
15	Szczepan Serwa	59	4	M	119.30
16	Dariusz Ludwikowski	26	6	6R	119.20
17	Krogh Jonas	31	4	6R	119.15
18	Eryk Sokołowski	55	6	WR	118.85
19	Stanisław Gąsienica	71	5	6N	118.60
20	Andrzej Patoła	48	5	6R	117.93
21	Piotr Zyguła	58	4	M	117.60
22	Tomasz Gołąb	46	5	6R	117.58
23	Andrzej Górka	45	5	6R	117.30
24	Przemysław Patoła	48	3	6N	117.02
25	Jerzy Platek	42	5	6N	116.73
26	Daugard Frederik	42	3	6R	116.05
27	Hammelvang Jones	42	5	6R	115.98

Brązowomedalowe parostki

L.P.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1	Bogusław Kosek	83	114.37
2	Tomasz Ocetkiewicz	54	114.02
3	Bartłomiej Kapcia	71	113.43
4	Jan Dybich	55	113.33
5	Adam Kwiatkowski	60	113.18
6	Dominik Mazur	45	112.53
7	Krzysztof Tabiś	44	112.28
8	Leszek Grzyb	48	112.18
9	Mateusz Batko	44	112.03
10	Edward Fryt	35	111.50
11	Adam Piwowarski	31	110.78
12	Adam Ślęczek	54	110.75
13	Kamil Dacka	42	110.63
14	Tomasz Morawiec	29	110.63
15	Rafał Chlebda	46	110.40
16	Andrzej Górka	80	110.27
17	Leszek Konopka	33	110.15
18	Ryszard Zawiślak	73	109.20
19	Paweł Broś	55	109.10
20	Krogh Jonas	31	109.05
21	Michał Wójcik	34	108.88
22	Władysław Ziębiński	34	108.75
23	Wojciech Wiltowski	76	108.23
24	Ryszard Zawiślak	73	108.07
25	Bartosz Gorczyca	85	107.92
26	Mirosław Bielecki	73	107.25
27	Władysław Józef Figura	75	107.13
28	Andrzej Szymański	44	107.05
29	Marek Jagielnik	61	106.63
30	Paweł Sawicki	56	106.35
31	Mariusz Zawadzki	66	105.90
32	Paweł Kołodziej	63	105.75
33	Sebastian Kurowski	64	105.62
34	Szymon Czerniga	31	105.62
35	Leszek Konopka	33	105.50
36	Bogdan Kociński	61	105.40
37	Tomasz Borys	72	105.37
38	Mikołaj Ryszard Kobos	41	105.25
39	Jacek Piegza	50	105.10
40	Piotr Dziekan	60	105.05

Komisja wyceniała również dzicze oręza. Brązowomedalowego odyńca pozyskał Gabriel Marek w obwodzie 53 – KŁ „Soból” w Krakowie.

Nie mogło zabraknąć również czaszek drapieżników. „Brązowego” lisa odstrzelił myśliwy zagraniczny w obwodzie 69 dzierzawionym przez KŁ „Wabik” w Krakowie.

Darzbór



Mateusz Dudzik
Łowczy KŁ „Grodzisko” w Raciechowicach,
Przewodniczący Komisji Oceny
Prawidłowości Odstrzału,
Członek Komisji Wyceny Trofeów
Łowieckich, mierniczy CIC



RYSZARD ADAMUS



WIOSNA





MIĘDZYNARODOWO W MONGOLII

Adam Mroczek



Możliwość reprezentowania polskiego sokolnictwa na arenie międzynarodowej potrafi zaskoczyć dość nieoczywistymi destynacjami i dokładnie tak stało się we wrześniu 2024 roku, kiedy po raz pierwszy moja noga stanęła na kontynencie azjatyckim, a konkretniej w Mongolii.

Mongolia, to nadal dość egzotyczny kraj, niemniej ruch turystyczny rośnie tam z roku na rok, a po kilkudniowym pobycie muszę przyznać, że była to trochę taka podróż w czasie.

Ale zacznijmy od początku. Kraj wielkości zachodniej Europy z zaledwie 3 mln populacją, z czego w zasadzie połowa mieszka w jednym mieście – stolicy kraju – Ułan Bator. Kraj wciśnięty pomiędzy dwa autorytarne państwa – Rosję i Chiny, którego gospodarka w dużym stopniu opiera się na wydobywaniu surowców, co widać już na lotnisku, na którym zaraz po przylocie pojawiają się wielkie reklamy koncernów wydobywczych. Samo lotnisko zostało zbudowane i ufundowane w dużym stopniu przez Japończyków, a otwarte w 2021 roku. I to w zasadzie na tyle, jeśli chodzi o spektakularne inwestycje infrastrukturalne, bo np. środki na metro w stolicy kraju udało się tamtejszym politykom

zdefraudować już kilkukrotnie. Co prawda z lotniska do Ułan Bator prowadzi wspiana droga szybkiego ruchu, niemniej po dotarciu do rogatek miasta staje się zwykle w olbrzymich korkach, ponieważ prawo drogowe w Mongolii jest trochę jak prawo budowlane na Podhalu – nie przyjęło się do końca.

Dzięki temu, że poruszaliśmy się z „lokalsami”, którzy zorganizowali dla nas transport, udało się w miarę szybko po wylądowaniu zebrać grupę sokolników z kilku zakątków świata i zapakować nas do jednego busika, którym dowieziono nas do hotelu. Z nazwami miejsc trzeba uważać, bo w zasadzie co drugi obiekt ma w nazwie Czyngis-chan. I tak lotnisko oczywiście jest imienia Czyngis-chana, a pobliski hotel jurtowy również nosił to dumne imię. Z naszego punktu widzenia był to bezwzględny i brutalny władca, ale trzeba przyznać, że jako jeden z nielicznych podbił Chiny, a jego wojska w 1241 roku pokonały pod Legnicą wojska polskie i prawie zawłasczyły zachodnią Europę, bo dotarły nawet pod Wiedeń. Tylko niesprzyjający klimat tamtego czasu (duże opady, ochłodzenie) i konsekwentny nieurodzaj doprowadziły do odwrotu Mongołów. Tymczasem 800 lat później lądu-

jąc w tym niezwykłym kraju miałem wrażenie, że znów mamy lata 90., bo wszystko tak bardzo przypominało mi Polskę mojego dzieciństwa, może o tyle inną, że do Internetu nie trzeba już wdzwania się modemem.

Warto wspomnieć, że Mongolia to kraj pokryty przede wszystkim stepem, gdzie drzew się nie spotka. To wynika z surowości klimatu, bo latem bywa tu często dość upalnie, z temperaturami powyżej 30°C w cieniu (oczywiście jeśli go znajdziecie, co na stepie nie jest proste), a zimą niejednokrotnie temperatury spadają poniżej minus 40 stopni i właśnie dlatego w połączeniu z brakiem opadów nie rosną tu drzewa – po prostu nie wytrzymują nie tylko amplitud temperatur, ale także braku opadów, które, jeśli się już pojawią, to choć zwykle są bardzo intensywne, to jednak krótkotrwałe. Na tutejszej pustyni Gobi potrafi nie padać przez cały rok. Dlatego też większy obszar kraju pokryty jest roślinnością trawiastą. Jedną z rzeczy, która zaskoczyła mnie na mongolskim stepie był jego niesamowity zapach i szkoda, że nie da się tego opisać słowami. Jest to niesamowita mieszanka ziół, która mocno zapada w pamięć. Nie sposób nie zgodzić się z sokolniczym mongolskiego klubu sokolników, że zapach stepu zostaje z Tobą na zawsze i będzie cię nawoływać do powrotu.

Kolejna rzecz, która w nieoczywisty sposób jest wszechobecna w Mongolii, to konie – są dosłownie wszędzie: wzdłuż dróg, na obrzeżach miast, wchodzą na teren hoteli i wypasają się na pasach zieleni dzielących jezdnie, a to wszystko zdaje się nie robić na nikim większego wrażenia. Konie te są też znacznie niższe od arabskich i posiadają grubszą sierść, co pozwala im nawet w tak ekstremalnym klimacie funkcjonować bez potrzeby chowania się w stajniach. Co ciekawsze, próba utrzymania tych zwierząt w budynkach zwykle kończy się chorobami, ponieważ są to zwierzęta wybitnie związane z wolnym wy-

biegiem. Konie w zasadzie funkcjonują tu jako niezależne stada, które co prawda są oznakowane i posiadają właścicieli, ale tylko raz na jakiś czas właściciel przyjeżdża, odławia pewną część stada (np. na ubój), a resztę pozostawia do ponownego rozrodu. I tak hodowla koni w zasadzie w niezmienionej od lat formie tutaj sobie funkcjonuje. Można by powiedzieć, że gdyby nie stalinowska architektura brutalnie wgryzająca się w ten step, to obraz byłby taki trochę sielski-anielski, jak się słyszało w opowieściach ze wsi od babci. Tymczasem przedmieścia Ułan Bator w zasadzie nie istnieją, bowiem od razu pojawiają się wielkie betonowe bloki jakie pamiętamy z lat 90. Tu i ówdzie co prawda widać zaczątki pomniejszych blokowisk, szeregowców czy „resortów”, ale nadal jest to dalece odległe od ilości wysokich wieżowców z wielkiej płyty. Powoduje to trochę taki dysonans poznawczy jakiego doświadczyłem w samolocie – z jednej strony buddyjski mnich siedzący w swoim tradycyjnym ubraniu (jak widać na filmach z Tybetu), z drugiej – ten sam mnich zakładający AirPods-y, aby posłuchać czegoś ze swojego iPhone’a. I taka trochę jest w moim odczuciu Mongolia – z jednej strony piękna, pachnąca i kolorowa, a z drugiej betonowa, szara i postalinowska.

Tyle tytułem wstępu, aby wprowadzić trochę „tła”. Moja obecność w tym niezwykłym miejscu wynikała z faktu, że jako delegat Polskiego Klubu Sokolników PZŁ „Gniazdo Sokolników” do Międzynarodowego Stowarzyszenia na Rzecz Sokolnictwa i Ochrony Ptaków Drapieżnych (IAF) miałem możliwość uczestnictwa w 56 Walnym Zebraniu IAF oraz towarzyszącym mu Pierwszym Azjatyckim Festiwalu Sokolnictwa im. Kubilaj-chana (wnuka wspomnianego już Czyngis-chana). Na festiwal składały się odpowiednio: walne zebranie IAF, międzynarodowa konferencja sokolnicza, część festiwalowa z pokazami i zawodami sokolniczymi oraz wy-



cieczka do terenowej stacji badawczej na stepie – wszystko podczas 4 dni. Całość wydarzenia odbywała się między 19 a 22 września 2024 roku i zgromadziła przedstawicieli sokolników z ponad 21 krajów całego świata od Ameryki Płn. (USA) przez Europę (między innymi z Polski, Norwegii, Irlandii, Grecji, Czech, Słowacji, Wlk. Brytanii, Holandii) aż po Azję (z przedstawicielami takich krajów jak Chiny, Japonia, Kirgistan, Gruzja, Korea Płd.). Uczestnicy tego Międzynarodowego Festiwalu mieli możliwość wyboru zakwaterowania w Hotelu Taj albo w Kompleksie jurt Chingisiin Khuree. W pierwszym odruchu pomyślałem, że fajnie byłoby

przenocować w jurcie, ale po chwili refleksji, mając w perspektywie brak w takiej jurcie bieżącej wody i ogrzewanie centralnie umieszczoną kozą na węgiel, jakoś entuzjazm mi zmalął. Oczywiście dostęp do wody i sanitariatów był, tylko żeby się do nich dostać, trzeba było przejść kilkaset metrów do wyznaczonego budynku, co w połowie września w Mongolii z samego rana nie należy do zbyt przyjemnych rzeczy, ponieważ temperatury potrafią spadać już poniżej zera. Tymczasem w hotelu można było cieszyć się tak prozaicznymi rzeczami jak łazienka z prysznicem i telefon na ścianie obok muszli klozetowej (do tej pory staram się odgadnąć,



dlaczego akurat tam). Co prawda były też ujemne strony, bo dla odmiany w jurtach jedzenie było pyszne i lokalne, a hotelu na śniadanie codziennie serwowano taką

samą zimną spuściznę kolonialnego imperium brytyjskiego, czyli tost, dżem, fasolkę i parówkę – wszystko niejadalne, ale za to podane z pełnym ceremoniałem. Nie mogło skończyć się inaczej niż tak, że hotelowi goście na posiłki chadzali do restauracji w resorcie jurtowym. Skoro już omawiamy kwestie zakwaterowania to warto zaznaczyć, że w Mongolii wciąż niewiele osób mówi po angielsku, zaś po rosyjsku już niewiele, w związku z czym porozumiewanie się może stanowić pewne wyzwanie. Ponieważ dostęp do Internetu miejscami jest ograniczony (w szczególności na stepie), więc możliwość użycia tłumacza online na mongolski jest utrudniona. Niemniej stary sposób na gesty i migi czasami działa, choć czasami zamiast uproszonej herbaty dostanie się wrzątek (podanie go jest tu zwyczajem, podobnie jak częstowanie kawą/herbatą w Europie), to zasadniczo



się sprawdza. Oficjalna część festiwalu zaczynała się w czwartek rano, więc środowy wieczór był dla każdego z przyjezdnych okazją do zapoznania się z lokalnymi specjałami, których w restauracji nie

brakowało, a także napicia się sławnego kumysu czyli lokalnego niskoprocentowego napoju alkoholowego wytworzonego z mleka kłaczy. Dla zainteresowanych dodam, że smakuje tak, jak brzmi, więc trzeba się do tego po prostu przyzwyczaić. Wieczór minął wspaniale, bo siedząc w jurcie mieliśmy możliwość obserwowania, słuchania i próbowania wszystkiego, co lokalne. A Mongolia to, wbrew pozorom, bardzo barwna kultura i wspinała etniczna muzyka, w tym śpiewy alikwotowe.

Choć zabawa trwała do późna, to w piątek rano nie było problemów ze wstaniem! Wszyscy zebrali się na czas i małym busem zostaliśmy zawiezieni do budynku Centrum Dziedzictwa Kultury, gdzie odbyło się oficjalne otwarcie wystawy prac artystów mongolskich pt. Sokolnictwo w sztuce. Był to także dzień, w którym, jako wydarzenie towarzyszące, odbył się 56 Walny Zjazd Międzynarodowego Stowarzyszenia na Rzecz Sokolnictwa i Ochrony Ptaków Drapieżnych IAF. Międzynarodowe spotkania mają ustalony przebieg podobny zresztą do spotkań tego typu w kołach łowieckich czy innych klubach. Standardowo zaczyna się od powitania (w tym przemówień oficjeli), potem głosi się nad abso-lutorium za miniony rok, omawia sprawy bieżące i podejmuje uchwały. Jednak Walne Zebranie

w Ułan Bator miało szczególny charakter, ponieważ było również spotkaniem wyborczym, w ramach którego wybrano nowy zarząd i prezydenta IAF na kolejne kilka lat. Nowym prezydentem IAF został pochodzący z Wielkiej Brytanii Mark Upton, który objął przewodzenie tej organizacji w styczniu 2025 roku. Całe spotkanie odbyło się w formie hybrydowej, aby przedstawiciele innych krajów mogli również w nim uczestniczyć.

Kolejnego dnia, w sobotę, miała miejsce Międzynarodowa Konferencja Sokolnicza, w ramach której omawiano wiele ważnych tematów z zakresu ochrony przyrody i sokolnictwa, a wśród nich takie jak: główne zagrożenia dla używanych w sokolnictwie gatunków ptaków drapieżnych, dziedzictwo sokolnictwa współcześnie (turystyka i edukacja), aspekty legislacyjne sokolnictwa w różnych krajach (USA, Chiny, ZEA, Mongolia) czy też kwestie międzynarodowej legislacji sokolnictwa.

Jednym z największych osiągnięć międzynarodowej społeczności sokolniczej była pomoc w modernizacji większości sieci energetycznej Mongolii, która powodowała śmierć nawet kilkunastu tysięcy dzikich ptaków drapieżnych rocznie. Rozwiązanie tego problemu okazało się dość proste, aczkolwiek pracochłonne – na większości słupów zamontowano dedykowane nakładki izolujące, które zapobiegają porażeniu. Ten program, wraz z podobnym, polegającym na tworzeniu miejsc lęgowych dla rarogów stepowych na stepie dał bardzo dobre efekty. O obu programach jeszcze wspomnę przy okazji omawiania ostatniego dnia wydarzeń festiwalowych.

W trzecim dniu miał miejsce właściwy festiwal. Pogoda dopisała i zaczęło świecić słońce dzięki czemu można było się cieszyć folklorem w całej jego okazałości. Zaczęło się od wprowadzenia flag uczestniczących w festiwalu krajów. Wśród flag była między innymi ta biało-czerwona! Co więcej, każdy z przedstawicieli krajów został poproszony o krótkie przemówienie podczas uroczystego wciągania flagi swojego kraju na maszt. I tak w ramach polskiego epizodu można było usłyszeć, że „Polscy sokolnicy, jako kraj, w którym narodziła się Solidarność, są dumni, że mogą obserwować taką samą solidarność pomiędzy sokolnikami wszystkich krajów świata, kiedy granice nie mają znaczenia, ponieważ łączy ich wspólna pasja”. Flagi były wciągane na maszt zgodnie z alfabetycznym porządkiem. Po wciągnięciu ostatniej z nich na horyzoncie pojawił się konny orszak Kubilaj-chana w tradycyjnym mongolskim ubiorze, który wjechał na teren festiwalowy. Kubilaj-chan prze-



Model słupa w terenowej stacji badawczej ukazujący, na czym polega modyfikacja linii energetycznych. Widać nałożoną plastikową nakładkę, chroniącą siadające ptaki przed porażeniem prądem. Na ziemi widać pokrywę na górną część słupa, a druga część metalowej poprzeczni pokazana jest bez zabezpieczenia. Po prawej stronie widać model gniazda z beczki

mówił i zasiadł na tronie. To rozpoczęło szereg powitalnych pokazów: śpiewów mongolskich zespołów folkowych, tańca szamańskiego w wykonaniu dzieci, tradycyjnego tańca mongolskiego i wielu innych. W ramach przybycia „władcy” zjechali się także uczestnicy konkursów przewidzianych w ramach festiwalu – sokolnicy z orłami i rarogami, łucznicy, harciarze i jeźdźcy konni. W kolejnych godzinach odbywały się więc pokazy z zakresu poszczególnych dyscyplin. Na wstępie można było obejrzeć pokaz strzelania na celność do tarczy z końskiego grzbietu w przebiegu – warto tu wspomnieć, że większość jeźdźców poruszała się na koniu wyposażonym w tradycyjne mongolskie drewniane siodło obite co najwyżej dywanikiem. Już za sam fakt umiejętnego poruszania się na niskich koniach przebiegających nóżkami 3 razy częściej





niż konie arabskie siedząc w tego typu siodle powinno się przyznawać nagrody za wytrzymałość! Mnie od samego patrzenia bolały już pewne części ciała. Po pokazie łuczników odbył się pokaz kok-boru, co oznacza dosłownie „wydzieranie sobie kozy”. Jest to tradycyjna gra zespołowa ludów koczowniczych. Nazywają ją też ulaktartysz, buzkaszi lub oglak tartis w zależności od kraju, w którym w nią grają, a są to Kazachowie, Kirgizi, Uzbeki, Tadjycy, Turkmeni oraz Mongołowie. Polega na wydzieraniu sobie przez dwa zespoły baraniej/koziej skóry i umieszczaniu w bramce przeciwnika, a wszystko z końskiego grzbietu. Kolejna dyscyplina, jako że był to festiwal sokolniczy, dotyczyła już zawodów orłów w lotach na czas do wabidła. Startowało zaledwie kilku zawodników, niemniej ptaki radziły

sobie całkiem dobrze. Drugą dyscypliną, stricte związaną z sokolnictwem, były zawody w lotach sokołów do wabidła, a konkretnie przebijanie wabidła na czas. Wygrywał zawodnik, którego ptak w określonym czasie wykonał największą ilość pikowań do kręconego wabidła. To akurat trochę inne podejście niż zawody rozgrywane w krajach arabskich, gdzie mierzy się czas lotu sokoła do mety (trial) lub do wabidła podczepionego pod dron lub latawiec. Część tego typu zawodów jest nawet transmitowana na żywo w telewizjach arabskich, a znaczny wzrost zainteresowania tymi wyścigami spowodował nawet powstanie Międzynarodowej Federacji Wyścigów Sokolów. Po zakończeniu dyscyplin sokolniczych i jeździeckich nie zabrakło także elementu interesującego kynologów – odbył się

pokaz pogoni za zdobyczą (oczywiście w formie włóczyki) psów rasy chart kirgiski (tajgan). Jest to bardzo ciekawa rasa, choć w XX wieku zagrożona była wymarciem. Udało się ją jednak ocalić i aktualnie jest wykorzystywana do polowań na sarny, lisy, kozły górskie, korsaki, borsuki czy kojoty. Co ciekawe, psy te bywają też używane do polowania z orłami, więc jest to także w pewnym stopniu rasa psa podsokolego. Po rozegraniu wszystkich dyscyplin wyłoniono zwycięzców i wręczono im nagrody – sokolnik posiadający najlepszego ptaka łowczego wygrał trofeum w postaci wilczej głowy.

Oczywiście po zakończeniu festiwalu nie mogło zabraknąć uczty i świętowania przy ognisku. Tu każdy z uczestników mógł zobaczyć, jak wygląda szamański rytuał podziękowań i taniec

ognia, któremu przewodniczyła szamanka z Centrum Szamanizmu Mongolskiego Jadan-Shonkhor. Co więcej, każdy z nas otrzymał stosowne „namaszczenie” i dary, które przywiezione do domu miały zapewnić szczęście i pomyślność. Aby jeszcze mocniej przypieczętować ową pomyślność duża część uczestników po zakończonym obrzędzie udała do pobliskiej karczmy.

Czwarty dzień festiwalu zaczął się o wiele wcześniej niż poprzednie, a to dlatego, że czekała na nas podróż na step do regionu Bayan. Choć było to zaledwie 120 km od bazy hotelowej to dojazd tam zajął w jedną stronę prawie 3 godziny ze względu na słabą sieć dróg, a także konieczność przebycia ostatniego etapu drogą gruntową biegnącą przez step. Muszę przyznać, że podróż ta zrobiła na mnie dość mocne wrażenie.



nie, ponieważ zarówno festiwal, jak i konferencje odbywały się w okolicach miasta, a tu mieliśmy okazję zobaczyć, jak Mongolia wygląda z dala od stolicy. Kiedy podróżujemy przez Polskę co pewien czas na słupku ogrodzenia autostrady mijamy pstrokatego, brązowego ptaka – to myszółów zwyczajny, który patroluje autostrady w poszukiwaniu ofiar potrażeń drogowych i spełnia podobną rolę, co sęp płowy w Mongolii, czyli sprząta padlinę. Różnica polega tylko na tym, że myszółów waży około 1 kilograma, a sęp potrafi ważyć do 11 kg! Z rozpiętością skrzydeł tego padlinożercy, sięgającą prawie trzech metrów, i dodatkowo faktem, że ptaki te przemieszczają się w stadach liczących kilkanaście do kilkudziesięciu osobników, nabiera się do nich pewnego szacunku, w szczególności, gdy się je zobaczy z bliższej odległości. Jak już wspomniałem, dróg było niewiele i choć ruch na nich nie był wyjątkowo duży, to jednak stan techniczny wielu mijanych pojazdów powodował poczucie podobnego szacunku, jak do opisywanych wcześniej sępów.

Po dotarciu do terenowej stacji badawczej

Bayan zostaliśmy przywitani przez grupę pracujących tam wolontariuszy pod przewodnictwem dr Andrew Dixona – brytyjskiego sokolnika, który aktualnie prowadzi tam badania nad rolą rarogów stepowych (*Falco cherrug*) w ekosystemie stepu w kontekście żerowania na chinornikach stepowych (*Lasiopodomys brandtii*) finansowane przez klub sokolniczy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Od razu narzuca się pytanie, czego Arabowie szukają na mongolskim stepie i co im do tamtejszych „chomików”? Otóż wszystko to dzieje się dlatego, że raróg stepowy jest jednym z gatunków, który jest najpowszechniej wykorzystywany w tradycyjnym sokolnictwie arabskim i jest to w zasadzie narodowy ptak wielu krajów arabskich – coś, jak dla Polaka nasz poczciwy „bociek”. Mongolia to kraj, w którym populacja raroga stepowego jest aktualnie największa na świecie; stąd cały program badawczy mający na celu między innymi ochronę tego gatunku. Jak się okazuje ze wstępnych wyników badań ptaki te pełnią ważną rolę w zapobieganiu pustoszczeniu stepów wywierając dużą presję na populację chinorników, które

zmieniają wzorce zachowań, kiedy w okolicy pojawiają się rarogi. Ustalono to między innymi na podstawie informacji z nadajników i czujników zakładanych tym gryzoniom – bada się czas jaki spędzają w norce, a jaki przeznaczają na żerowanie, wielkość kolonii, w jakich żyją i ilość wyprowadzonych młodych. Warto też wspomnieć, że poprzedni projekt, finansowany przez arabskich sokolników, polegający na budowaniu miejsc do gniazdowania dla rarogów przyczynił się to wzrostu populacji tych ptaków, a także do uprzątnięcia stepu ze śmieci i pozostałości po bytowaniu człowieka. Jak to możliwe? Owszem, sokoły, w tym rarogi, nie budują gniazd, jednak ze zbudowanych dla nich miejsc gniazdowych korzystają też inne gatunki jak np. myszółowy mongolskie (*Buteo hemilasius*) i kruki, które budują gniazda ze wszystkiego, co na stepie znajdują. A że na stepie nie ma za wiele materiału na gniazda, to ptaki używają do tego wszelkich sznurków, resztek upręży, porzuconych drutów, śmieci pozostawionych przez ludzi – w ten sposób sprzątaję step.

Ptaki w kilka lat są w stanie całkowicie zatkać gniazdo wykonane z beczki, co świadczy o tym, że ilości tego typu resztek są znaczne. Sam projekt budowania gniazd z beczek okazał się znaczącym sukcesem, a ptaki z braku alternatywnych miejsc wykorzystywały postawione w ten sposób słupy bardzo chętnie. Warto też wspomnieć, że w ramach naszej wizyty wypuszczono dwa zrehabilitowane metodami sokolniczymi rarogi stepowe, które wcześniej, w wyniku doznanych urazów, trafiły pod opiekę ludzi. Przed wypuszczeniem założono obu ptakom loggery satelitarne pozwalające monitorować ich poczynania i jeszcze lepiej poznać ich zachowania.

W ramach przerwy na lunch mieliśmy okazję spróbować tradycyjnej potrawy „boodog” i nie miało to nic wspólnego z hot dogiem. Była to owca grillowana w iście mongolskim stylu; to znaczy po zabiciu i wypatroszeniu owcy została



ona nafaszerowana warzywami i gorącymi kamieniami rozgrzany wcześniej w ognisku, a następnie upieczona nad ogniem (czasami kawałki mięsa wkłada się z gorącymi kamieniami do metalowego garnka i ten stawia na ogniu). W ten sposób mięso piecze się równomiernie z obu stron. Warto tu wspomnieć o samym ognisku – na stepie nie ma drzew, więc i nie ma drewna, ale po wypasie owiec i kóz zostaje sporo nawozu, który po wysuszeniu nadaje się idealnie jako opał (i przyznać trzeba, że jest pewien niesmak jedzenia mięsa upieczonego za pomocą rozgrzanych pośrednio owczym nawozem kamieni). Niemniej smak świeżo pieczonej owcy spożywanej na mongolskim stepie, pachnącym ziołami to coś, czego nie da się opisać słowami. Po posiłku pojechaliśmy do kilku pobliskich gniazd, aby zobaczyć, jak funkcjonują one w terenie. Udało nam się również zamontować jed-



Używane przez kilka sezonów gniazdo wykonane z blaszanej beczki wypełnione pozbieranymi na stepie śmieciami. Pod gniazdem ciężarówka, na której znajdują się wyjęte z zaledwie kilku gniazd śmieci. Ukazuje to, jak znaczną rolę sprzątaczy stepu spełniają kruki i myszołowy mongolskie

no nowe gniazdo. Przed powrotem omówiono szczegóły zabezpieczania linii energetycznych, pokazując na przykładzie, jak dokładnie wyglądała wykonywana praca. Nawet Polski Klub Sokolników PZŁ sfinansował parę lat temu przebudowanie kilku takich słupów i fantastycznym doświadczeniem była możliwość zobaczenia tego na żywo. Ponieważ robiło się już późno podziękowaliśmy za gościnę na stepie i wybraliśmy się w podróż powrotną. I tu w zasadzie mógłbym napisać, że przeżyłem najbardziej międzynarodowy moment z mojego życia. Otóż do koreańskiego busa marki Hyundai wsiadło kilkunastu Europejczyków, Japończyk, kilku Amerykanów, Chińczycy i rodzina Hindusów od-

wiedzająca jednego z wolontariuszy. Jechaliśmy tak sobie przez mongolski step, w ramach międzynarodowego festiwalu sokolniczego, po wizycie u angielskiego badacza, finansowanego przez Arabów i w pewnym momencie małe dziecko wspomnianej hinduskiej rodziny zaczęło śpiewać po angielsku „Jingle Bells” – czy mogło być bardziej międzynarodowo? Chyba nie!

Dotarliśmy do hotelu już mocno po zmroku i w tym momencie dało się już poczuć koniec tej niesamowitej przygody. Po wieczornym posiłku trzeba było ustalić kolejność dojazdu na lotnisko, aby każdy zdążył na swój lot i po tych kilku niesamowitych dniach wrócił z powrotem do domu. Podczas lotu powrotnego naszła mnie taka refleksja, że to dzięki pasji i zamiłowaniu do przyrody niejednokrotnie myśliwi mają możliwość doświadczania tak niesamowitych chwil.

Dzięki zrozumieniu zasad funkcjonowania przyrody możemy ją autentycznie chronić i to w wymiarze międzynarodowym. Tymczasem w europejskich mediach mówi się o przyklejających się cyjanoakrylem do asfaltu „ekologach i obrońcach przyrody”, którzy nie mają żadnego pojęcia o ochronie przyrody... Tylko edukacją i mówieniem o takich właśnie przedsięwzięciach jesteśmy w stanie z tym zafałszowaniem walczyć. Bądźmy dumni z tego, że polskie sokolnictwo jest na liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO, gdzie wariaci z cyjanoakrylem, miejmy nadzieję, nigdy nie trafią.



Adam Mroczek - z pochodzenia gdańszczanin, a z zamiłowania krakus. Od 2005 roku właściciel firmy Sokolnictwo.pl. Jako pierwszy w kraju zaczął hodowlę myszołowców towarzyskich (harrisów) i jest miłośnikiem tego gatunku. Brał udział w pracach nad wpisem polskiego sokolnictwa na listę niematerialnego dziedzictwa kultury UNESCO i prowadzi portal Sokolnictwo dla Początkujących. Prywatnie ojciec trójki dzieci i małego „ogrodu zoologicznego”



KULAWKA

- kieliszek bez stopki

Dariusz Knap



Kulawka jak sama nazwa wskazuje to taka „kulawa szklanka”, nie ma bowiem stopki, przez co nie można jej postawić na stole czy blacie. Po co komu taka kulawka? Ano właśnie po to, żeby nie można jej było odstawić! A oto garść historii.

Kulawka, zwana również kuszykiem czy kuszykiem to naczynie, które w swoim ogólnym kształcie czary bez stopki towarzyszy ludziom od tysięcy lat. Jego pierwotną formą był woli róg, do którego podczas rytuałów religijnych, a później biesiad, starożytni Grecy nalewali wino. Z czasem rytony, bo tak nazywane były te naczynia, zaczęto wytwarzać z metalu, np. ze złota, srebra lub z gliny. Przypominające swoim kształtem pusty w środku róg, z upływem lat przybierały coraz bardziej kunsztowną formę. Rzeźbiono w nich figury leśnych i mitologicznych stworzeń i malowano na nich sceny religijne. Dodawano również inskrypcje, dzięki którym wiadomo było do czczenia jakiego boga przynależą. Najistotniejszą cechą rytonu był fakt, że wąska część zakończona była dziurką, którą podczas nalewania płynu zatykano palcem. Przez ten niewielki otwór pito, a przez szeroki napelniano róg winem. Pełnego naczynia nie dało się więc w żaden

sposób odstawić bez obaw o rozlanie. Ryton znany był we wszystkich miejscach na świecie, z którymi kontakt miała kultura helleńska. Również Rzymianie korzystali z tego rodzaju naczyń. Wpływy te są zresztą tak szerokie, że dziś kulawki można znaleźć w muzeach na całym świecie. Wraz ze średniowieczem i upowszechnieniem się kielichów, które bardziej przypominają dzisiejsze naczynia, popularność kulawek spadła. Niemniej wciąż forma czary bez stopki pojawiała się w różnych kulturach (mowa tu choćby o rogu do picia kojarzonym z Wikingami). Takie naczynia znane były również Słowianom, Indianom czy mieszkańcom Afryki. Nic dziwnego - róg, który nazywany jest czasem przez historyków „plastikiem średniowiecza”, wykorzystywany był przez ludzi na całym świecie do wykonywania biżuterii, broni, elementów zbroi czy właśnie przedmiotów codziennego użytku. Róg do picia to jednak nie do końca ta sama kategoria, co kuszyk nawet, jeśli zasada jest ta sama, a budowa podobna. Mimo to obecnie kielichy stylizowane na zwierzęce rogi z zoomorficznymi rzeźbieniami określane są jako kulawki myśliwskie. Służą one do wznoszenia toastów po polowaniu. Kulawka swoich protoplastów ma w rytonach, czyli staro-



żytnych naczyniach, których w trakcie wystawnych uczt używali Grecy. W XVII wieku popularne stały się kuszytki, jak inaczej nazywano te specyficzne kieliszki bez podstawy. Skąd taki pomysł na naczynie, które stało się polskim towarem eksportowym i absolutnym unikatem w świecie europejskiego łowiectwa? To sarmaci, szlachcice hołdujący przekonaniu, że są potomkami legendarnego, antycznego plemienia, uwielbili naczynia tworzone z cienkiego, bogato zdobionego szkła, które nierzadko służyły jako puchary wiatowe, rozbijane natychmiast po wypiciu toastu. Szlachta Rzeczypospolitej kochała nie tylko wielkie łowy kończące się obfitymi pokotami, ale też doniosłe świętowanie bogatej zdobyczy połączone z gremialnym tłuczeniem zdobnych kielichów. Nie jest jednak prawdą, że kulawki nie da się odstawić. Da się, jednak nigdy pełnej. Na uboższych dworach, gdzie żal było tłuc drogie szkło, kuszytki po wzniesieniu toastu kładziono na stole dnem do góry. Wraz ze schyłkiem epoki sarmackiej kulawki wyszły z powszechnego użycia. Przechowali je jednak w tradycji myśliwi jako wierni spadkobiercy staropolskiej kultury. Dorobiono do nich łańcuszki, by łatwo było je nosić na łowach, a niektórzy twórcy dołożyli nawet wieczko, aby trunek można było przechować na później, nie roniąc ani kropki.

Od lat na polowaniach obowiązuje pełny zakaz spożywania alkoholu, tak więc kulawki nie są już stałym elementem myśliwskiego wyposażenia, jak to przed wiekami bywało, ale na myśliwskich biesiadach, spotkaniach, imprezach nie są one wcale rzadkością. Jednak to typowo polskie akcesoria, nie znane jeszcze szerzej w Europie i na świecie. Wielu polskich myśliwych polujących za granicą właśnie kulawkę zabiera jako prezent dla swych gospodarzy, krzewiąc polską kulturę myśliwską i pokazując jej nieznane oblicze. Wiele osób zaskakuje fakt, że wśród myśliwskich akcesoriów znajduje się szklany, mosiężny lub srebrny ze złoceniem wewnątrz, zawieszony na rzemyku lub łańcuszku, zwanym dewizką, kuszytce. Pośród kulawek dobór materiału zależy tylko i wyłącznie od twórcy i zamawiającego. W tych, wykonanych ze szlachetnych materiałów tj. srebra, złota, pochewek rogów (kozicy, koziorożca), do ozdabiania czary kulawki zastosowanie mają grandle jelenia, kęsy lisa, parostki sarny czy też strugi bobra. Pośród braci myśliwskiej tradycja nakazywała koleżeńską ręką podany trunek wychylić do dna jako wyraz wzajemnego braterstwa, lojalności i szacunku.

Warto zainteresować się intrygującą, wiodącą przez sacrum i profanum, historią kulawki. Tradycję szlachecką związaną z kulawką do dnia

dzisiejszego pielęgnuje brać myśliwska. Szkoda, że coraz mniej młodych adeptów łowiectwa interesują tematy związane z historią i tradycją łowiecką. Ale zawsze trzeba mieć nadzieję, że się to w najbliższym czasie zmieni. Ja taką nadzieję mam, a Wy?

Z myśliwskim Darzbórem



Dariusz Knap

Członek Komisji Edukacji NREL, prezes Oddziału Chęcińskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, edukator łowiecki, kronikarz, autor wielu artykułów o tematyce łowieckiej, twórca rzemiosła artystycznego o tematyce myśliwskiej



Koguty w dolinie Dunaju

Zbigniew Ciemniowski



Po węgierskim IKP (Internationale Kurzhaar-Prüfung – wielki międzynarodowy konkurs wyźłów niemieckich krótkowłosych organizowany przez Niemiecki Klub Wyźłów) w 2017 roku dzięki uprzejmości Rafała wybrałem się w jego towarzystwie na koguty do Rumunii. Zapraszającym na polowanie był zamożny właściciel licznych przedsiębiorstw, działających głównie w otoczeniu rolnictwa, a przy tym zapalony myśliwy i miłośnik wyźłów, człowiek, dla którego Rafał przygotowywał już kolejnego psa na konkursy.

Po zakończeniu konkursowej pracy w polu pojechaliśmy na południe, w kierunku doliny Dunaju, na której obszarze leżał obwód łowiecki będący miejscem naszych przyszłych łowieckich emocji. Wczesnym popołudniem wyruszyliśmy w drogę z Biczó Csárda Fülöpszállás (czytelnik wybacz!), gdzie była kwatera główna konkursu, do miejsca planowanego noclegu w domu naszego gospodarza, odległego o nieomal 700 kilometrów. Warto też dodać, że po drodze czekała nas przeprawa przez góry Siedmiogrodu.

Droga była niezwykle ciekawa i dosłownie chłonałem widoki za oknem. Dzikie góry, przylutone do drogi niewielkie miejscowości, pastwiska wędrujące ze stadami po rozległych łąkach, ale też bez lęku buszujący ze swoimi zwierzętami po obrzeżach dróg, bezdomne psy, na wpół, a może nawet całkiem dzikie, pojawiające się nie wiadomo skąd na przydrożnych parkingach i wiele innych elementów egzotycznej dla mnie przestrzeni. Jechaliśmy, jechali, jechali. Zrobiło się ciemno, a my ciągle jechaliśmy, pokonując kolejne setki kilometrów. W pewnym momencie, w okolicach pięknej wypoczynkowej miejscowości Sibiu, kiedyś letniej rezydencji królów rumuńskich, skręciliśmy w prawo, w wąską asfaltową drogę prowadzącą w las. Tą drogą, kręcącą niesamowite serpentyny przez kolejne dwadzieścia kilometrów, wspięliśmy się na wysokość prawie 2000 m n.p.m. do domu, a właściwie rezydencji naszego gospodarza.

Trudny dzień zakończyła wspaniała kolacja, w czasie której na talerzach królował potężny wspaniały przyrządzony befsztyk wołowy. Przy kawie i winie słuchaliśmy potem opowiadania o obwodach łowieckich gospodarza, o ich zasobności w grubego zwierzę, o wspaniałych górskich rykowiskach, gdzie zdobycie złotomedałowego wieńca było raczej regułą niż wyjątkiem. Ta przemiła rozmowa toczyła się w domu otoczonym knięją, w której spotkanie niedźwiedzia czy wilka nie było problemem, a na sprawnych łowców na kamienistych szczytach okolicznych gór czekały kozice górskie.



Ranek przywitał nas wspaniałym słońcem, ale też lekkim mrozem, co na tej wysokości nie było niczym zaskakującym. Po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Dopiero wtedy mogłem zobaczyć niezwykle, poprzednio jedynie przeczuwane piękno tej okolicy. Łańcuch gór Bucegi w niemałej części jest parkiem narodowym i z pewnością zasłużył na to wyróżnienie. Poniżej kamienistych szczytów wśród pięknych lasów rozpościerały się rozległe górskie łąki. Dolinami płynęły rwące potoki. Droga wiła się stromo w dół i momentami żołądek niebezpiecznie zbliżał się do gardła, choć nawierzchnia była wykonana nienagannie.

Po opuszczeniu wspaniałych gór i pożegnaniu się z naszym przemiłym gospodarzem do-

tarliśmy do nieodległego Bukaresztu, a potem zostało nam już tylko nieco ponad 100 kilometrów autostradą w kierunku nadmorskiej Konstancy. W umówionym miejscu czekała na nas toyota hilux prowadzona przez gospodarza łowiska, które było naszym ostatecznym celem. Zjechaliśmy z autostrady i polnymi drogami, z których unosiły się w październikowym upale niewiarygodne ilości kurzu, dotarliśmy na naszą łowiecką kwaterę.

Miejsce wyglądało ciekawie. Wśród rozległych pól, w otoczeniu starych drzew i sporego ogrodu, stał zaskakująco duży hotel. Obiekt wybudował i prowadził właściciel niemałej części otaczającej nas rolniczej krainy, a przy okazji dobry znajomy goszczącego nas właściciela obwo-

du łowieckiego. Przeznaczeniem obiektu była obsługa myśliwych, głównie Włochów, przyjeżdżających na polowanie w te okolice. Po dwóch dniach mieliśmy okazję spotkać włoskich myśliwych i przyjrzeć się ich polowaniu. O tym słów parę w dalszej części tekstu.

Po zakwaterowaniu się w dosyć skromnie i prosto urządzonych pokojach pojechaliśmy za naszym przewodnikiem do obozu będącego centrum liczącego 14 tysięcy hektarów obwodu łowieckiego, w którym mieliśmy polować na koguty. Granice obwodu opierały się na południu o Dunaj, od północy i zachodu zamykała go nitka autostrady Bukareszt - Konstanca, od wschodu granica biegła wzdłuż niewielkich wzgórz porośniętych lasem.

Otoczająca nas równina była omal doskonale płaska, poprzecinana jedynie szerokimi głębokimi rowami odprowadzającymi wodę z tego terenu, zapewne zalewanego wcześniej wodami Dunaju. Obrzeża rowów w wielu miejscach porośnięte były gęstymi pasami krzewów, a tu i ówdzie również drzew. Być może ze względu na wyjątkowo suchą porę roku wodę na dnie rowów można było zobaczyć jedynie gdzieś tam. Co mnie uderzyło od samego początku, to wielka liczba ptaków drapieżnych szybujących nad polami lub wysiadujących na obrzeżach zakrzaczeń. Po drodze spotkaliśmy nawet kilka orłów. Obecność tak licznych drapieżników nie zapowiadała dobrych stanów ptactwa, ale niedaleka przyszłość miała pokazać, że te obawy zupełnie nie znalazły potwierdzenia.

Na polach panował ruch związany z odbywającymi się aktualnie zbiorami kukurydzy porastającej znaczącą partię terenu. Na części powierzchni trwały siewy pszenicy. Około 10 procent obszaru pokrywała dzika roślinność, w części bardzo nieprzyjazna intruzom ze względu na nieprzyjemnie kolczaste rośliny, które skutecznie broniły do niego dostępu. Nad całością w upalnym słońcu unosiły się kłęby kurzu podnoszonego z drogi naszymi samochodami oraz pracującym sprzętem rolniczym.

Po przejechaniu kilku kilometrów polnymi drogami dotarliśmy do osady łowieckiej leżącej na polanie wśród lasu. Kompleks leśny należący do „naszego” obwodu łowieckiego liczył około 1200 hektarów i zamykał jego wschodnią granicę. Dominującym gatunkiem była robinia akacjowa, której długie ciernie czyniły leśne ostępy bardzo trudnymi do przejścia, a miejscami praktycznie zupełnie niedostępnymi. Jako ciekawostkę można podać, że ten niewielki kompleks leśny był prawdziwą wylęgarnią dzików. Organizowane pod koniec roku polowania zbiorowe dawały pokoty do 50 osobników dziennie, a o wielkości tutejszych odyńców krążyły prawdziwe legendy. Sam zresztą miałem okazję się przekonać, że nie są one w niczym przesadzone.

Drugą ciekawostką związaną z tym łowiskiem jest to, że w ciągu ostatnich 20 - 30 lat stało się ono prawdziwą krainą szakala złocistego, wcześniej w tych stronach nie widywanego. Rafał, który dwa lata wcześniej tam polował, opowiadał, że wieczorami można było usłyszeć dziesiątki szakali wyjących podobnie jak wilki, lecz trochę cienie. Sama osada robiła dobre wrażenie. Składała się z dwóch budynków mieszkalnych, sporych zabudowań gospodarczych, dużej, dobrze utrzymanej psiarni. Była nawet niemała chłodnia dla obsługi łowiska.

Wracam do bażantów, bo zapewne Czytelnik nie może się już doczekać przejścia do zasadniczej części wątku. Najpierw muszę uspokoić: bażantów było naprawdę dużo. Już w drodze do obozu widywaliśmy grupki bażantów, głównie kogutów, wędrujące po łowisku na pograniczu koszonej kukurydzy, nieużytków czy po prostu przy drodze, na której obrzeżach poszukiwały gastrolitów. Pierwsze popołudnie minęło na wypełnianiu różnych formalnych dokumentów otwierających nam możliwość legalnego polowania, a potem na miłych i ciekawych rozmowach z gospodarzami. Następnego dnia zaczęło się polowanie.

Gospodarze wspominali nam, że oni zaczynają polowanie na koguty pod koniec roku, zwykle w drugiej połowie listopada i w grudniu. W tamtych stronach prawdziwa zima zdarza się rzadko, a jeszcze rzadziej pada śnieg. Jeżeli nawet spadnie, to leży dwa, trzy dni i po wszystkim. Bodaj dwa lata przed naszym przyjazdem zdarzyła się nietypowa zima ze sporym opadem śniegu, który do tego wszystkiego leżał na polach znacznie dłużej niż zwykle. Wspominano nam o tym, tłumacząc załamanie się populacji kuropatwy na tym terenie, wybitej przez gromady latających drapieżników mających prawdziwy raj na śnieżnych odkrytych powierzchniach. Przed tamtą zimą kuropatwy było dużo. Mogę to sobie wyobrazić, gdyż i my spotykaliśmy kury w wielu miejscach przy okazji wędrówek za kogutami. Uwagę zwracały zawsze dobrze świadcząc o zdrowiu populacji duże, liczące zwykle około 20 osobników stadka tych ptaków.

Gospodarze wypracowali sobie optymalny w ich warunkach model polowania na koguty, a my postanowiliśmy skorzystać z ich rad i doświadczenia. Plan polowania polegał na tym, że jeden z nas z psem zwykle ja jechał kilkaset metrów do przodu wzdłuż jednego z rowów od-

wadniających. Zostawiony na miejscu drugi myśliwy zwykle Rafał spokojnie czekał na efekt pracy lub wolno maszerował w moim kierunku. Jak twierdzili gospodarze, w okresie zimowym na jednym rowie można w ten sposób strzelić nawet kilkanaście kogutów. Wtedy, w początkach października, pola pokryte jeszcze łańkami kukurydzy, bujna o tej porze zieleń nieużytków, rozległe ścierniska z pewnością grały przeciw nam. Wiedziałem jednak, widząc po drodze, ile jest ptactwa w tym terenie, że polowanie na pewno będzie udane.

Żeby obraz był pełny, muszę dopowiedzieć jeszcze jedną rzecz. Rowy odwadniające, wzdłuż których polowaliśmy, tworzyły wielką szachownicę pokrywającą cały teren. Miały dosyć podobne wymiary, to znaczy zwykle szerokość pięciu, sześciu metrów oraz sporą głębokość, sięgającą miejscami nawet trzech, czterech metrów. Obrzeża, ściany schodzące dosyć ostro w dół oraz nie zalane jeszcze w wielu miejscach wodą dna tych rowów pokryte były dosyć bujną roślinnością, pasami krzewów, a nawet kępami drzew. Dla bażantów było to eldorado kryjówek, dla psów spora trudność.

Ja miałem ze sobą Gapę, wtedy trzyipółletnią, sukę bardzo doświadczoną w polowaniu na bażanty. Polowaliśmy w kolejnych dniach, przemieszczając się tylko z jednego rejonu łowiska w drugi. Bażantów było dużo, a miejscami nawet więcej niż dużo, ale nie miały najmniejszego zamiaru tanio sprzedać swojej skóry. Miały dwa standardowe modele obrony. Pierwszy zakładał błyskawiczną ucieczkę rowem na pierwszy sygnał zbliżającego się niebezpieczeństwa. Oprócz ludzkich głosów takim sygnałem mogły być nawet trzaskające drzwi samochodu. Jeżeli ruszałem z Gapą wzdłuż rowu, to pierwsze koguty potrafiły się rwać pomiędzy mną a Rafałem już po kilku, kilkunastu minutach. Rwały się oczywiście nie Rafałowi pod nogami, lecz 50, 100 metrów przed nim, rzadko tylko dając okazję do strzału. Koguty zapadały daleko w łańkach kukurydzy albo na powierzchni nieużytków. Powtórne dojście do ptaków w pierwszym przypadku było niemożliwe, w drugim niezwykle trudne.

Część kogutów stosowała inną strategię i one dawały szansę na sukces łowiecki. Prowadzone przez Gapę w dnie rowu wyciekały tak daleko, jak się tylko dało, czasem niepostrzeżenie zawracając w gęstwinie do miejsca wyjścia. Ostatecznie przyciśnięte stójką przez cwana Gapę w kępie traw czy przy ścianie rowu podnosiły się do lotu. To była nasza szansa, przy czym, jeżeli tylko był w rowie choć niewielki krzew, zawsze kogut zrywał się z jego drugiej strony. Na



skuteczny strzał mieliśmy dosłownie ułamek sekundy. Były dni, kiedy sam, jedynie z Gapą, wędrowałem za kogutami i wtedy zadanie było jeszcze trudniejsze, ale przez to polowanie smakowało znakomicie, a każdy kogut na trokach był prawdziwą radością.

Rowy, którymi zwykle wędrowaliśmy, miały również innych ciekawych lokatorów. W skarpace kopali swoje nory szakale i lisy. Można było czasem spotkać zająca europejskiego (*Felis silvestris*), rzadki gatunek dzikiego kota, w tamtych stronach występującego dosyć licznie, choć w Europie jest bardzo rzadki. Mnie zdarzyło się spotkanie ze sporym odyńcem, wystawionym klasycznie przez Gapę w kępie krzewów na granicy rozległego pola kukurydzy. Do około stukilogramowego odyńca miałem dosłownie kilka metrów, bo tak blisko nas do siebie dopuścił, zanim oddalił się spokojnym truchtem. Któregoś dnia zapuściliśmy się w rejon obwodu, w którym polowali włoscy myśliwi. Udało mi się tam strzelić przepiórkę spod pięknie do niej stojących wyzłów, ale przede wszystkim nadarzyła się okazja zobaczyć, jak polują nasi południowi koledzy.

Dla mnie była to pełna egzotyka. Otóż na otwartej przestrzeni nieużytków lub rżyska stały parawany przypominające nasze nadmorskie plażowe zabezpieczenia przed ciekawskim

okiem sąsiada i wiatrem. W środku siedział jeden lub dwóch myśliwych. Wokół parawanów rozwieszone były bujające się na wietrze błyszczące makiety ptaków drapieżnych, a w powietrzu słychać było ptasi szczebiot dobywający się z elektronicznych wabików. Co jakiś czas padał strzał i myśliwy na chwilę opuszczał schronienie, podnosząc coś z ziemi. No właśnie – cóż takiego było celem polowania? Początkowo nie potrafiłem do tego dojść, ale w końcu się okazało, że Włosi polują na skowronki! Jest to ich bardzo tradycyjny rodzaj polowania, do tego mający kulinarny wymiar. Pozyskane ptaki mrożono w większych opakowaniach i transportowano do Włoch, gdzie są prawdziwym kulinarnym rytasem. Cóż, łowiectwo niejedno ma imię.

W sumie polowałem z Gapą na koguty przez kolejne trzy dni i po tym czasie musiałem dać jej odpocząć. Pozostałe dwa dni polowałem skutecznie na drapieżniki, choć szakala nie udało się zdobyć. Towarzyszyłem też Rafałowi i Mihailowi z aparatem w czasie wędrówek za kogutami, co dało mi szansę pokazania choć części tego, co widziałem w naddunajskim łowisku. O polowaniu na drapieżniki, niezwykle ciekawym fragmencie mojego polowania w Rumunii, z pewnością jeszcze napiszę, bo warto.

Obraz rumuńskiej wyprawy nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o ludziach. O właścicielu





łowisk już pisałem. Teraz parę słów o naszych łowieckich kompanach. Mihail pełnił funkcję zarządzającego wszystkimi obwodami naszego gospodarza. W sumie było tego dobre 100 tysięcy hektarów łowisk bogatych w zwierzynę, a więc roboty i odpowiedzialności niemało. Valentin był zarządcą/łowczym obwodu, gdzie polowaliśmy na koguty. Mieszkał na terenie osady łowieckiej i odpowiadał za wszystkie elementy działania gospodarki łowieckiej. Obaj okazali się wspaniałymi kompanami i przemiłymi ludźmi, którzy znaleźli na zawsze bardzo ciepłe miejsce w mojej pamięci. Obaj znakomicie i z prawdziwą przyjemnością gotowali! Chyba nigdy i nigdzie nie było mi dane pokosztować tak znakomitej kuchni, gdzie lokalny koloryt bardzo dobrze sąsiedował z dziczyzną. Prostymi środkami potrafili obaj wyczarować dania, przed którymi można było jedynie pochylić głowę z podziwu. Dużo warzyw, bogactwo przypraw, przepiórki, bażanty, wspaniałe zupy, a na koniec doskonała kawa gotowana tak, tak gotowana na modłę turecką. Nie ukrywam, że nie zabrakło też alkoholu, wśród którego królowało miejscowe piwo nazywające się zimbru, czyli po prostu żubr.

Na dwa dni odwiedził nas też ojciec gospodarza, który natychmiast włączył się do kucharze-

nia, a przy posiłkach lubił pogawędzić, wspominając również swoje młode lata i pobyty w różnych miejscach Polski. Wszyscy oni stanowili zgrany zespół pogodnych, chyba lepiej będzie powiedzieć: szczęśliwych ludzi. Kochali swoją pracę i swoje życie. Myśliwymi byli znakomitymi i z przyjemnością podglądałem ich podejście do zadań łowieckich, które przy nas realizowali. W tej materii do dzisiaj nie mogę ochłonąć z podziwu, w jaki sposób Valentin patroszył, skórował, a potem dzielił na elementy dużego dzika.



Zbigniew Ciemniński

dr hab. n. med., kardiolog, myśliwy z prawie 50-letnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie w Gwarectwie Myśliwych, Braci Łowieckiej i Łowcu Polskim oraz na stronie www.psymoje.pl, miłośnik polowania z wyżem, hodowca – hodowla „ze Skolnitégo”, założyciel Klubu Wyżów przy Polskim Związku Łowieckim

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

czytaj za darmo:

www.wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje

Nemrod czy Nimrod?

Rzecz o biblijnych myśliwych

Marek Kubis

Z Księgi Rodzaju:
Kusz zaś zrodził Nimroda, który był pierwszym mocarzem na ziemi.
Był on też najsławniejszym przed Panem myśliwym.



Ruiny zamku Nimroda

Zwykle przed podróżą staram się poznać: historię, kulturę, geografę regionu, który zwiedzam. Znów jadę do Ziemi Świętej. Będę wolontariuszem w prowadzonej przez ojców dominikanów Francuskiej Szkole Biblijnej i Archeologicznej w Jerozolimie. Tutejsi archeolodzy od początku XIX w. do dzisiaj prowadzą wykopaliska w wielu krajach Bliskiego Wschodu. Bibliści z całego świata korzystają z przepastnej biblioteki. Tłumaczą starożytne teksty, piszą mądre książki.

W przewodnikach czytam o Parku Narodowym Nimroda. Pojawia się pytanie, czy Nemrod i Nimrod to ta sama postać? Oczywiście tak. Szkopuł w tym, że nie znamy wymowy, jaką posługiwali się starożytni mieszkańcy dzisiejszej Azji Mniejszej. Również odczytanie zachowanych zabytków piśmiennictwa stwarza nie lada problemy. Język hebrajski należy do grupy języków semickich. Do dzisiaj nie zapisuje się w nim samogłosek, a na dodatek kiedyś pisano „ciurkiem” bez spacji, interpunkcji, wielkich liter. Trzeba nie lada zdolności kryptologicznych, aby cokolwiek odczytać. Jednym z wybitnych badaczy manuskryptów pracującym w École biblique et archéologique française de Jérusalem był polski ksiądz Józef Tadeusz Milik. Ten geniusz paleografii, nazywany Champollionem zwojów, wniósł wielki wkład w odczytanie słynnych manuskryptów z Qumran.

Jest niedzielny lipcowy poranek. Zapowiada

się upał. Jak zwykle o tej porze roku. Razem z moim przyjacielem, ojcem Stanisławem, wybieramy się na wycieczkę. Z Jerozolimy kierujemy się do Jerycha. Tym razem szybko zwiedzamy to najstarsze, nieprzerwanie zamieszkałe, miasto świata. Kiedy Egipcjanie budują piramidy, ono ma już 7000 lat. Jego mury rozsypały się od dźwięku trąb Izraelitów przybyłych do Ziemi Obiecanej. Zatrzymujemy się pod sykomorą, na którą wszedł poborca podatkowy Zachęsz, aby zobaczyć przechodzącego Jezusa. Stąd mamy bardzo blisko do miejsca chrztu w Jordanie. Jest to lokalizacja umowna, jak większość miejsc w Ziemi Świętej. Tędy prowadził starożytny szlak handlowy, a na rzece od zawsze istniał bród. Porządku i bezpieczeństwa pilnują tu żydowscy żołnierze. Na drugim brzegu już Jordania. Częściej odwiedzany przez pielgrzymów i turystów podobnym miejscem jest położony tuż przy południowym krańcu jeziora Genezaret Jardenit. Wybudowali go mieszkańcy sąsiedniego kibucu i zamienili w atrakcję turystyczną. Jedziemy wzdłuż wschodniego brzegu jeziora. Wzgórza po prawej to Jordania i Syria. Skracamy w stronę malowniczych wzgórz Golan. Dojeżdżamy do strefy demarkacyjnej. Dalej zakaz wstępu. Po drodze mijamy wioskę izraelską. To kibuc – coś na wzór kolchozu, ale doskonale zorganizowany. Widać porządek. Ludzie są zamożni, wszyscy zapracowani. Wczoraj świętowali, wszak był szabat. W niewielkim sklepie



kupujemy wodę i jakieś miejscowe sery. Są bardzo smaczne i niedrogie. Kiedy byłem tutaj wiosną wszystko kwitło. Na wzgórzach istniała barwa. Pastwiska pokrywała soczysta trawa, ale to był kwiecień. Teraz wszystko jest w kolorze ochry. Przy drodze spotykamy obozowisko Beduinów. Ich wychudzone kozy szukają jakichś resztek zeschłej trawy, kolczastych krzewów. Ludzie chronią się przed słońcem pod nędznymi zadaszeniami. Tylko wielbłądy ze stoickim spokojem zajęły się przeżuwaniem. Przed nami rozległe pasmo górskie. To Antyliban z najwyższym szczytem, Górą Hermon, przez większą część roku pokrytą śniegiem. Niestety tegoroczne lato jest wyjątkowo upalne. Śnieg zniknął, a z nim wyschły przepiękne wodospady i jeziora Banias, położone nieopodal Cezarei Filipowej. Tu ma początek rzeka Hermon, która dalej łączy się z rzeką Dan tworząc Jordan. Z wijącej się serpentynami wąskiej górskiej drogi podziwiamy piękne krajobrazy. Zza któregoś zakrętu wyłaniają się ruiny starożytnego zamczyska, cel naszej wyprawy, zamek Nimroda. Przypomina trochę nasz Ogródzieniec, ale jest znacznie potężniejszy, zbudowany z olbrzymich wapiennych bloków. Zastanawiam się jak budowniczości wciągnęli je na wysoką górę o stromych zboczach. Wewnątrz podziwiamy potężne mury, olbrzymie sale z pięknymi stro-

pami, kolumnami, tajne przejścia, wielką cysterne na wodę. Wszystko to robi niemałe wrażenie. Donżon górujący nad długą, przewężoną w środku linią fortyfikacyjną nadaje wielkiej fortecy krzyżowców wygląd psa obronnego czającego się do skoku. Jego podniesiona głowa zwrócona jest w stronę Damaszku. Z tyłu poniżej znajduje się Banias, którego ma strzec. Zamek, którego budowę legenda przypisuje biblijnemu Nimrodowi, został wzniesiony w roku 1129 przez Reinera Brusa na polecenie Baldwina II. Już w roku 1137 wpadł w ręce Damasceńczyków, którzy go rozbudowali. Potem jeszcze wiele razy przechodził z rąk do rąk. W czasie V krucjaty (1217-1221) zamek został zburzony. W XIII wieku odbudowany, ale stopniowo tracił na znaczeniu i popadł w ruinę. Twierdza Nimroda jest nazwą wtórną. Funkcjonuje około 150 lat. Tak samo nazwa się twierdza asyryjska na terenie dzisiejszego Iraku. Jedno ze starych podań mówi, że Nimrod budując twierdzę stał na wzgórzu, a dłońmi czerpał wodę ze źródeł Jordanu. Musiał być z niego naprawdę chłop na schwał. W linii prostej to jakieś 4 kilometry i kilkadziesiąt metrów w pionie.

Kim był Nimrod? Po Hebrajsku imię to znaczy „buntować się”. W Biblii znajduje się na jego temat niewielka wzmianka, ale często pojawia się w islamie i podaniach wielu ludów zamieszkują-



Jedno z tajnych przejść na zamku

cych tereny Bliskiego Wschodu. Nakładają się tu na siebie tradycje żydowskie, muzułmańskie, chrześcijańskie. Jego imię znajduje się na tzw. liście narodów. Są to wszystkie narody, które w ciągu stuleci słyszały w swoich językach wielkie dzieło boże. Nimrod pochodził z krainy Szinar, inaczej Babilon lub Babel. Niewątpliwie był postacią królewską. Każdy król musiał być myśliwym, a przynajmniej był przedstawiany jako myśliwy zabijający lwa. Symbolizowało to walkę z wrogami, świadczyło o jego potędze, pokazywało, że był w stanie obronić swój lud. Był nieustraszony i waleczny. Polujący król był przedstawiany we wszystkich kulturach starożytnych: hebrajskich, asyryjskich, egipskich. Istniało coś takiego jak polowania rytualne. Władca idący na wojnę najpierw wyruszał na łowy na lwa. Miało to symboliczny wymiar jego panowania nad ludźmi i nad światem. Był postacią potężną. Często na posągach widzimy króla trzymającego w rękach małe kocię. To nie lew jest maleńki, to król taki olbrzymi. Nimrod, jak większość ówczesnych władców, był despotą. Dziś powiedzielibyśmy, że woda sodowa uderzyła mu do głowy. Wpadł na pomysł budowy olbrzymiej wieży, znanej jako Wieża Babel. Chciał pokazać, że jest równy Bogu. Inne podania mówią, że wieża miała zapewnić ochronę przed potopem. To on miał poddawać Abrahama próbie. Według trady-

cji żydowskiej był tyranem, przekonany, że losy poddanych zależą od władzy ziemskiej, a nie boskiej. Postać raczej negatywna, „szemrana”, ale bardzo mocna, potężna.

A na co, oprócz lwów, polowali starożytni? Według bożego planu, opisanego w „Księdze Rodzaju”, ludzie mieli nie jeść mięsa. W Biblii jest przekaz, że w świecie przed grzechem pierworodnym nie istnieje przemoc; ani między ludźmi, ani zwierzętami. Jest napisane, „dziecko włoży rękę do nory kobry, a lew będzie, jak wół żywił się sianem”. Do jedzenia pozostawały płody ziemi, czyli: rośliny, nasiona, korzenie i owoce. Ludzie chodzili nago. Po wypędzeniu z raju sytuacja się zmieniła. Pierwszym myśliwym był zapewne Abel. Aby udomowić zwierzęta, które hodował, najpierw musiał je złowić. Ludzie ubierają się w skóry zwierząt, aby okryć swoją nagość i chronić się przed deszczem i chłodem. Mięso zaczynają jeść dopiero po potopie. W przymierzu, które Bóg zawarł z Noem, pozwala on jeść mięso, ale pozbawione krwi. Tak powstają: ubój rytualny i jedzenie koszerne. Miało to przede wszystkim głęboki aspekt sanitarny i zdrowotny. W gorącym klimacie krew bardzo szybko ulega zepsuciu, powstają toksyny powodujące groźne zatrucia. Wyjątek stanowiły ptaki. Na pustyni Żydzi żywili się przepiórkami, które łowili w sieci i sidła. Dopiero później zabi-



Palestynka kąpiąca się w jeziorze Genezaret

jali je i pozbawiali krwi. Jednak ani manny, ani przepiórek nie można było przechowywać do następnego dnia. Z zapisów Starego Testamentu wynika, że upolowanych zwierząt nie można składać w ofierze ani ich jeść. W islamie pojawia się też podział zwierząt na czyste i nieczyste. Nie można jeść mięsa świń ani drapieżników. Ogólnie narody Starego Testamentu były pasterkie, a nie myśliwskie. Myśliwym był król, ewentualnie pasterz chroniący swoje stada przed drapieżnikami. Polował Dawid. Przed walką z Goliatem, olbrzymim filistyńskim wojownikiem powiedział: „mam kij i kamienie, walczę z dzikimi zwierzętami: niedźwiedziami i lwami”. Odnaczał się męstwem i odwagą. I to on będzie królem. Podobnie wielkim miłośnikiem polowań był Ezaw. Po hebrajsku imię to znaczy „włochaty/owłosiony”. Ezaw był starszym bratem bliźniakiem Jakuba. Synem Izaaka i Rebeki. Jako przyszły król większość czasu spędza na polowaniach. Po powrocie z jednej z łowieckich wypraw, gdy nie chciało mu się przygotować pożywienia, sprzedał swoje pierworództwo za miskę soczewicy, młodszemu bratu Jakubowi. Kiedy zrozumiał błąd, usiłował zabić brata, za co został ukarany. Musiał opuścić swój lud i udać się na wygnanie.

Wszystko to ma się w przyszłości zmienić. W „Księdze Izajasza” pojawiają się obrazy mesjańskie. Coś się wydarzy. Przyjdzie na świat Król Mesjasz i wszystko będzie, jak przed grzechem pierworodnym. Znikną wszelka przemoc i zło.

Najstarszym zachowanym tekstem literackim o myśliwym, jest pochodzący z około XX wieku przed Chrystusem Poemat o Gilgameszu, królu Ur. Jest to opowieść sumeryjska związana z kulturą Mezopotamii spisana po akadyjsku. Ten filozoficzno-moralny zbiór opowiadań powstał przez setki lat. Są w nim opowieści o potopie, końcu świata, przyjaźni, o tym kim jest kobieta, jaka jest jej rola w rodzinie i społeczeństwie, kim jest król i jakie ma zadania. Gilgamesz był surowym i despotycznym władcą. Opowieści te zawierają też pytania o sens życia. Lud Ururuk błagał bogów, aby ktoś powściągnął surową rękę króla. Okazał się nim Enkidu stworzony przez boginię Aruru, człowiek dziki, kudłaty, chodzący nago, zachowujący się jak zwierzęta, pośród których żył i których mowę rozumiał. Był nieokrzesany i niebezpieczny. Gilgamesz postanowił go pojąć. W tym celu wysłał do niego prostytutkę, która spędziła z Enkidu sześć dni i siedem nocy. Po takiej kuracji ten stał się normalnym człowiekiem, ale zwierzęta za-

częły przed nim uciekać, stracił również zdolność porozumiewania się z nimi. Powrócił do cywilizacji, zaprzyjaźnił się z Gilgameszem, razem pokonali potwora Humbabę, rozprawili się z Bykiem Niebiańskim zesłanym przez boginię Isztar z nienawiści do Gilgamesza, który nią wzgardził, gdy ta chciała go uwieść. Po licznych pouczających przygodach Gilgamesz udał się na koniec świata, gdzie otrzymał ziele zapewniające mu nieśmiertelność. Jednak w czasie snu skradł je wąż i to on, zmieniając skórę, ciągle się odradza. Stał się uosobieniem zła, zyskał nieśmiertelność, a człowiek, podobnie jak w raju, utracił ją. Wiedząc, że umrze Gilgamesz stał się mądrym i sprawiedliwym władcą. Zrozumiał, że kobieta cywilizuje mężczyznę, odciąga go od dzikości.

Pora wracać. Jest późne popołudnie. Do Jerozolimy kawał drogi, a upał nie słabnie. Tym razem jedziemy zachodnim brzegiem jeziora Genezaret. Zatrzymujemy się koło kościoła Prymatu św. Piotra. Jest w nim kamień, na którym Jezus po zmartwychwstaniu jadł posiłek z apostołami i nakazał Piotrowi „paś baranki moje”. Lazurowa woda jeziora zachęca do kąpieli. Korzystamy z okazji, aby się ochłodzić. Oprócz nas tylko nieliczni Palestyńczycy zażywają ochłody. Stroje kąpielowe okrywają dziewczęta od stóp do głów, co budzi nasze zdziwienie. A szkoda, bo figury mają całkiem, całkiem. Od murów kościoła do wody, spokojnej jak lustro, jest jakieś 50 metrów. Oglądałem film, na którym widać rozszalałe fale uderzające w mury kościoła. Jezioro „żyje” w cyklu siedmioletnim. Jego poziom w tym czasie podnosi się i opada o kilka metrów. Jedziemy przez równinne tereny zagospodarowane rolniczo. Podziw wzbudzają pola uprawne. Systemy odsalania wody morskiej, nawadnianie kropelkowe to wynalazki izraelskie. Dzikiej zwierzyny w Izraelu jest niewiele. W niektórych rejonach występują dziki. Izraelczycy nie polują na nie; wszak te są nieczyste. W górach i na pustyni występują antylopy, koziorożce, drapieżniki, w tym lwy i lamparty, ale są pod ochroną. Izraelczycy nie mają tradycji łowieckich, a Palestyńczykom nie wolno posiadać broni.

Podróż powoli zaczyna nużyć. W oddali majaczy samotny szczyt. To góra Tabor. Dość wysoka, robi wrażenie swym odosobnieniem. Jest miejscem Przemienienia Pańskiego. Trzej apostołowie ujrzeli Jezusa rozmawiającego z Mojżeszem i Eliaszem. Na górę prowadzi niesamowicie kręta wąska droga, dostępna tylko dla małych samochodów i kierowców o silnych nerwach.

Do Jerozolimy docieramy już w nocy. Dobrze, że pokoje wyposażone są w klimatyzację, bo kamienne mury, z których zbudowany jest

klasztor, nagrzewają się od słońca. Budowla ta powstała w XIX wieku. Jeden z budowniczych, brat zakonny, żalił się w liście do swoich przełożonych we Francji, że marnie karmią. Na obiad jest tylko po jednym wróbelku. Łowili je Beduini i sprzedawali na bazarze koło bramy damasceńskiej. A może były to biblijne przepiórki, ptaszyny równie niewielkie.

Coraz częściej podróżujemy po świecie. Zachłystujemy się wolnością jaką przyniosły nam zmiany, które dokonały się w Polsce po upadku komunizmu. Gdy odwiedzamy jakiś kraj, a czas i okoliczności na to pozwolą, zjedźmy z utartych szlaków. Czasami tuż za rogiem dzieje się wiele ciekawych rzeczy. Tam żyją miejscowi. Oni stanowią o rzeczach istotnych. Popróbujmy ich jedzenia, odwiedzmy bazar, na którym robią zakupy, potargujmy się z Arabem. Spróbujmy zrozumieć ich kulturę, która jest starsza od naszej europejskiej o tysiące lat. Nigdy nie stawiamy się ponad nimi. Gdy będziecie w Jerozolimie warto przejść się w nocy pustymi i tajemniczymi uliczkami, aby zobaczyć jak Turek, korzystając z drabiny, zamyka drzwi do Bazyliki Grobu; otworzy je dopiero wcześniej rano. Tak dzieje się od ponad 500 lat, gdyż katolicy i prawosławni nie mogli między sobą dojść do porozumienia. Zagłębcie się w uliczki tak wąskie, że trudno się minąć z kimś idącym z naprzeciwka. Warto!

zdjęcia autora



Marek Kubis

Prezes Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale, członek Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej, Przewodniczący Komisji Kultury przy ZO PZŁ w Krakowie

PROF. LECH PAKUŁA

wspomnienie



Ostatnie polowanie.....

Zakrzów 25.02.2024 r. wpis w Księżce Polowań nr 1719

Lutowy dzień, przed pełnią, koło południa dzwoni telefon. Obieram. Dzwoni prof. Leszek Pakuła – „Witam kolegę Adama, dzwonię czy nie pojechalibyśmy razem na polowanie?”.

Wiem, że idzie pełnia, to może być dobry czas. Profesor poluje z klasycznym 30-06 ze starą, ale dobrą lunetą Zeissa. Ma 94 lata i nie korzysta ze wsparcia w postaci termowizji czy noktowizji. Sprawdzam pogodę. Dzisiaj ma padać deszcz i śnieg, ale jutro już padać nie będzie. *Może jutro damy radę pojecha*

– mówię do Profesora. *Ok, możemy. Profesorze jedziemy! To dobrze, o której? Myślę, że zaraz po zachodzie słońca.* Umawiamy się na 16:30.

Dzień idealny, posypało trochę śniegiem, jest białe i prawie pełnia. Podjeżdżam pod dom Profesora. Profesor oczywiście, jak zawsze, czeka już w garażu ubrany na cebulkę – koszula, sweterek jeden i drugi, polar, kurtka i torba ze wszystkim, co potrzebne myśliwemu, kocyk wełniany i broń w futerale – zabezpieczona, sprawdzona przy mnie, czy na pewno nie został przez przypadek jakiś nabój w komorze. To przecież nie jest moż-

liwe – u Profesora bezpieczeństwo jest zawsze na pierwszym miejscu i każdy z nas, kolegów myśliwych, o tym wie. Gdzie jedziemy? Do nas na Pozogi? – pytam. *Nie, dzisiaj do Andrzeja, nie ma go, mamy zgodę na polowanie u niego.* Robię wpisy w księżce i jedziemy. W drodze rozmawiamy, jak zwykle, o dawnych czasach. Jak to polowało się u nas na zające, kuropatwy, bażanty, a i na kaczkę na Pozogach po kolana w wodzie. Jakim wspinałem myśliwym był śp. Karol Bunsch, ile w lutym 1974 r. bażantów strzelił razem ze śp. księciem Michałem Sapiechą. I co najważniejsze, jak wspaniale ułożonego psa, golden retrievera, przywiezionego prosto z Anglii od córki, posiadał kol. prof. Jerzy Trzcieniecki. Jak Zbyszek Galos strzelił ostatniego zajacę w kole i kiedy to było. Jak jego pointer Parysek, którego już nie ma, miał wielką pasję do polań! Dzisiaj jedziemy na dziki, a one przyszły do nas późno – mówi Profesor – na czarnego zwierza polujemy od niedawna, ale już ich trochę nastrzelałem również i te medalowe.

Podjeżdżamy pod miejsce polowania, Profesor dyryguje, nęcisko mamy 100 m na prawo. *Ciii, ciii nie gadamy już, tam jest taka mała polanka, teren zarosnięty samosiejkami i trawą i lekko przykurzony śniegiem. Obejdziemy z drugiej strony i wyjdziemy na górę.*

Proponuję, że zabiorę broń i krzeselko, lecz Profesor na niesienie broni przeze mnie się nie zgadza. *Myśliwy musi być sprawny i gotowy do jej noszenia, bo inaczej po co idzie na polowanie?! Mogę zabrać krzeselko i kocyk.* Profesor sam niesie futerał z bronią i podpiera się laseczką. Po przebyciu 100 m drogi, przerytej przez dziki i usianej koleinami od traktora, dochodzimy do skarpy o nachyleniu około 40 stopni, mocno porośniętej drzewami. Po raz kolejny proponuję pomoc w niesieniu broni, Profesor jednak ucina dyskusję – „ciii, ciii”. Wspinamy się, 15-20 metrów w górę docierając do wąskiej ścieżki biegnącej wzdłuż zbocza, którą to po mokrym śniegu przedzieramy się przez powalone przez wiatr i śnieg gałęzie. Po kolejnych 150 m dochodzimy do celu. Profesor wskazuje nęcisko wyciągniętą ręką. *W dole będą dziki. Niestety, zrobiło się pochmurnie i kiepsko widać.* Wyciągam mój termowizor do obserwacji i na dole widzę trzy dziki. Na środku polany kręcą się osobniki o masie około 30-40 kg, wskazuję je ręką i szeptem mówię do Profesora – *mamy dziki.* Profesor bez zastanowienia, oddaje mi swój sztucer i szuka w swojej torbie naboju. Wręcza mi jedną sztukę amunicji i mówi **STRZELAJ!**. Byłem tak zaskoczony tą decyzją, że nie mogłem załadować po ciemku sztucera. Profesor wziął sztucer sprawnie załadował i oparty o drzewo złożył się do strzału. Spojrzałem przez termowizję na dziki. Niestety, zeszły z otwartego terenu w zakrzaczenia i Profesor nie mógł ich dojrzeć. Było jedynie słychać pomruki i fukanie. Po kilku minutach dziki odeszły. Rozłożyłem krzeselko, Profesor usiadł, przykrył nogi kocykiem i szeptem rozmawiamy. *Co z Ciebie za myśliwy, co nie potrafi załadować sztucera? A już prawie mieliśmy jednego!*

Po ok. 40 minutach wypatruję w termowizji kolejne dziki. Idą w naszą stronę. Weszły na skraj polany i stoją w odległość 80 m. Mówię szeptem: *jedna duża locha i 5-6 małych około 20-30 kg.* Tym razem Profesor jest przygotowany, składa się na zrobionej wcześniej podpórce, mierzy, spowalnia oddech ..., lecz dziki na złość odchodzą. Na skraju polany zostaje tylko loszka. *Nie będę do niej strzelał!!! Widzisz, widzisz Adamie te małe?* Dziki obeszły polankę trawami, weszły do zagajnika i zniknęły. Przez kolejną godzinę nasłuchiwalismy. Dziki już nie wróciły. Była godzina 21:00. Jak ten czas szybko minął. Trochę zmarzłem, zacząłem lekko przebiegać nogami. Profesor popatrzył na mnie i rzekł: *możemy wracać, polowanie bardzo udane. Dziki były, to nic, że nie oddaliśmy strzału! Ale jakie były emocje! No i mieliśmy szansę!*

Przed nami droga powrotna. Profesor wybrał ostre zejście w dół i zatrzymanie się na polance. *Zabrałem resztki z obiadu i mam trochę kukurydzy.*

Zostawię. Dla lisków i dzików! Andrzej wraca jutro, będzie miał zaangażowane, może od razu polować.

W drodze powrotnej rozprawialiśmy o naszych dzikach, co nam przed nosem przespacerowały. *I trochę szkoda, że nie udało się strzelić. Każdy miał szansę – podsumował Profesor.*

Pod domem podziękował mi za udane polowanie i poprosił abym się opiekował jego terenem, choć żałował, że niewiele już z niego pozostało. Na wiosnę znów się umówimy na polowanie. *Ale po marcu, bo w marcu nie polujemy, tylko karmimy i obserwujemy, bo będą już warchlaki.* Umówiliśmy się, że musimy pojechać w maju na koziołki. Niestety nie udało nam się. Profesor odszedł do Krainy Wiecznych Łowów tuż po rozpoczęciu sezonu na kozły. Pożegnaliśmy Go na cmentarzu Rakowickim z myśliwskimi honorami w dniu 24 maja 2024 r.

Nie ma w słowniku języka polskiego takich pozytywnych przymiotników w stopniu najwyższym opisujących osobę, które nie pasowałyby do prof. Leszka Pakuły. Wszędzie pojawi się naj; najbardziej zaangażowany myśliwy, najlepszy, najbardziej odpowiedzialny, najpункtualniejszy, najbardziej wytrwały, najcierpliwszy! I dużo by tu wymienić naj, ale był dla wielu myśliwych w rejonie Krakowa, Małopolski, a także w Polsce, jednym z najbardziej znanych, polujących w całym kraju myśliwych! Jak ze słownika myśliwskiego – ktoś z wyjątkowymi umiejętnościami nie tylko w polowaniu, ale także w prowadzeniu działalności łowieckiej, takiej jak organizacja polowań i zarządzanie obszarami łowieckimi. Po stać nietuzinkowa, inspiracja dla wielu historii, mitów i legend związanych z historią krakowskiego łowiectwa.

Prawdziwy Nemrod! Najlepszy Myśliwy!

Profesor Lech Pakuła (1930–2024) był wybitnym geografem przemysłu, wieloletnim wykładowcą Akademii Pedagogicznej w Krakowie (obecnie Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej) oraz od 01.11.1963 członkiem Polskiego Związku Łowieckiego, Koła Łowieckiego „Podwawelskie” w Krakowie. Odznaczony wszelkimi możliwymi medalami myśliwskimi.

Jego pasja do łowiectwa zaowocowała publikacją książki „70 lat Koła Łowieckiego Podwawelskie w Krakowie”, wydanej w 2016 roku. Ponadto w 2020 roku ukazała się jego autobiografia zatytułowana „Moje korzenie i droga w Polskę”, w której dzieli się wspomnieniami z życia zawodowego i prywatnego.

*Tomasz Ocetkiewicz
Adam Ślęczek*

SYBERIA

Marzenia się spełniają

Marek Wajdzik



Pierwsza dekada kwietnia – z zadumy nad kolejnym zdaniem artykułu wyrывa mnie dzwonek telefonu. Rzut okiem na wyświetlacz i dzięki nowoczesnej technologii już wiem, że dobija się do mnie mój serdeczny przyjaciel Grzegorz. Na początku rozmowy mój rozmówca jak zwykle zadaje zdawkowe pytania o zdrowie, o rodzinę, o pracę czy też sukcesy na niwie łowieckiej po czym przechodzi do konkretów. Dzwonił Bogdan – obwieszcza głos w słuchawce – z propozycją, abyśmy pojechali na Syberię zapolować na głuszce i cietrzewie. Odpowiedziałem – kontynuuje Grzegorz – że jadę pod warunkiem,

że ty też się z nami wybierzesz. Bez wahania odpowiadam – ależ oczywiście, bardzo chętnie w tak zacnym towarzystwie, z wami zawsze. W duchu myślę sobie – mam cały rok, aby przygotować się do wyjazdu. Usatysfakcjonowany mam odpowiedź Grzegorza kończy rozmowę, gdyż głos w słuchawce wzywa go do pracy, a ja z kolei wracam do pisania artykułu. Ledwo co zebrałem myśli i „wystukałem” kilka słów na klawiaturze, gdy dzwonek odezwał się po raz wtóry. „Ki czort” przekląłem w duchu, o czym Grześ zapomniał? Tym razem jednak to nie on – to Bogdan kuje żelazo, póki gorące. Cieszę się bardzo, że wresz-

cie razem zapolujemy – dobiega głos ze słuchawki, mam nadzieję, że masz ważny paszport – kontynuuje – gdyż w przeciągu dwóch – trzech tygodni musimy otrzymać wizę. Potrzebuję w związku z tym twego paszportu i zdjęcia do wizy – kontynuuje. Bilety na samolot już zakupione – wylatujemy 2 maja wracamy 9. Lecimy do Helsinek, a następnie do Jekaterynburga, a stamtąd jedziemy samochodem do Szumichy – miejsca naszych łowów. Gdyby ktoś wtedy zobaczył moją minę miałby zapewne niezły ubaw! Ależ jak to... próbuje odzyskać głos, który uwięził mi w gardle – to my jedziemy w tym roku?

Oczywiście, pada odpowiedź w słuchawce, przecież wyraziłeś zgodę i chęci – więc wszystko załatwione. Czyli jak w starym porzekadłe: „słowo się rzekło – kobyłka u płotu”. Nie było już odwrotu. Kolejne dwa tygodnie upłynęły na załatwianiu formalności wyjazdowych i kompletowaniu ekwipunku, a 2 maja grupa w komplecie tzn. piszący te słowa, Grześ, Bogdan, Tadeusz oraz Tymek stawiała się na lotnisku w Warszawie, aby dokonać podboju nieprzebranych syberyjskich kniei. Lot z międzylądowaniem w Helsinkach upłynął nam w przyjacielskiej atmosferze na myśliwskich rozmowach i o 4 nad ranem postawiliśmy swe stopy, odziane w myśliwskie „buciska”, na azjatyckim lądzie. Na Jekaterynburskim lotnisku, po szczegółowej odprawie, przejmują nas miejscowi myśliwi, pakujemy się do busa, który po 4 godzinach zatrzymuje się przed naszymi kwaterami. Z zewnątrz przypominają one trzy zbite ze sobą domki kempingowe pamiętające zapewne czasy byłego ZSRR. To miejsca „hotelowe” dla nas czterech, a Bogdan lokuje się w pobliskim domku architektonicznie nieodbiegającym od syberyjskich zabudowań. Myśliwski kompleks dopełniają jeszcze dwa budynki tzn. stołówka oraz kwatera naszych podprowadzających. Całość, otoczona zewsząd polami uprawnymi i drzewostanami brzoźowymi, położona jest nad brzegiem malowniczego jeziora. Do gospodarstwa łowieckiego przynależy również strzelnica myśliwska (krąg myśliwski) położona nieopodal, a wybudowana – jak wynika z relacji miejscowych myśliwych – aby miejscowy, dobrze zapowiadający się strzelec miał gdzie trenować.

Po zakwaterowaniu i spożyciu posiłku udajemy się na krótki odpoczynek by po południu ruszyć na pierwsze syberyjskie polowanie. Do naszej dyspozycji jest 5 podprowadzających i 5 samochodów terenowych. Mnie w „udziale przypadł” Sasza, jak się później okazało niezwykle sympatyczny i gadatliwy „achotnik”, z którym od razu nawiązuję nić porozumienia. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie grubianina i mruka, który w trakcie odprawy niewiele się odzywa, a na me pytania odpowiada zdawkowo. Język rozwiązuje mu się dopiero wtedy, gdy zostajemy sami, mknąc „naszym uaz-em” w kierunku tylko jemu znanych bezkresnych syberyjskich łowisk. W trakcie podróży opowiada mi o swej rodzinie, o domu, o syberyjskich polowaniach, o myśliwych czy też o zwierzętach itp. Od czasu do czasu przerywa swą wypowiedź, by podzielić się przypowieścią o przydrożnym drzewie, pokazać mi zającą bielaka lub sarnę syberyjską, czy też wskazać, w którym to miejscu strzelił wielkiego

„kabana”, albo zatrzymać się, abym sfotografował kurę głuszcza, która przy drodze zbiera gastrolity. Podróż pomimo tego, że trwa ponad godzinę, mija nam szybko. Zatrzymujemy samochód na skraju niewielkiego brzozowego zadrzewienia i pieszo udajemy się do budki zbudowanej przez Saszę. Dziś polujemy na cietrzewie. Nasze schronienie, zbudowane z siana, częściowo wkopane w ziemię, doskonale maskuje nas (jak się później okaże) przed czujnym okiem tokowików. Po usadowieniu się w budce kontynuujemy naszą rozmowę myśliwską od czasu do czasu spoglądając przez prowizoryczne „okienka” i sprawdzając czy też w okolicy nie pojawiły się cietrzewie. Wokół nas rozciągają się nieprzebyte tereny stepowe pokryte o tej porze roku suchymi trawami. Gdy zaczęło się ściemniać posłyszeliśmy łopot skrzydeł pierwszych ptaków zlatujących się na tokowisko. Wkrótce następne cietrzewie lądowały wokół naszego „schronienia” by nieśmiało rozpocząć swe tańce połączone z bezkrawowymi utarczkami. Po chwili wokół nas rozbrzmiewała ich głośna godowa pieśń. Tego wieczoru los nie był dla mnie łaskawy, gdyż wszystkie koguty, a było ich kilkanaście, lądowały poza zasięgiem strzału. Mogłem za to do woli nasyć się ich tokami i podziwiać ich niezwykle koloryt. Gdy się ściemniło nie płosząc ptaków wróciliśmy do naszego pojazdu, a następnie na kwaterę, gdzie czekała nas miła niespodzianka - Tadeusz jako pierwszy strzelił cietrzewia. Przy kolacji każdy z nas relacjonuje, co widział i ustalamy z naszymi podprowadzającymi plan polowania porannego. Zapada decyzja – wstajemy o drugiej, szybka kawa i wyjazd o 2.30. Rano polujemy na głuszcze. Mnie w przydziale przypadł dość odległy fragment naszego łowiska położony ponad 50 km od kwatery. Na miejscu jesteśmy po około godzinie. Samochód parkuje-

my w gąszczu i rozpoczynamy nocny spacer drogami znanymi tylko Saszy. Po przejściu około pół kilometra mój przewodnik zatrzymuje się i bacznie nasłuchuje. Na me pytanie czy coś słyszy odpowiada, że na razie za wcześnie i musimy poczekać, aż głuszcze zaczną grać. Po około 5 minutach znużony brakiem ptasiej aktywności Sasza siada na leśnej ścieżynie. Po chwili jego oddech staje się miarowy i mam wrażenie, że zasnął. Lecz to raczej było albo moje złudzenie albo sen miał tak płytki, bowiem gdy tylko posłyszał w oddali „tyk”, „tyk” od razu się ożywił, lecz jego aktywność zbyt nie wzrosła i dalej spokojnie siedział na ścieżce. Na me pytanie, dlaczego go nie podskakujemy odrzekł, że jest zbyt daleko - około 300 m od nas, a nasz „gracz” wieczorem zapadł w tej kępie, na którą wskazał, oddalonej od nas o około 70 – 80 m. Cóż było robić? Pozostało nam zatem czekać na aktywność „naszego” głuszcza. Tymczasem kogut w oddali grał już na całego i bez trudu dało się słyszeć wszystkie zwrotki jego przepięknej choć cichej pieśni. Tkwiliśmy tak z Saszą wsłuchani w jego miarowe zwrotki do czasu, gdy czarna noc zaczęła szarzeć i mój przewodnik wyraźnie stał się nerwowy. Wstał i bacznie przez lornetkę (oczywiście radzieckiej produkcji) zaczął przeglądać czarne czeluści kępy, w której to wczoraj zasadził koguta. Gdy nic nie zauważył, przeklinając szpetnie, dał sygnał do powolnego podchodu. Bardzo powoli, z nogi na nogę w tempie żółwia przemieszczamy się w kierunku kępy. Pierwszy idzie Sasza, a ja za nim. Gdy jesteśmy 15 – 20 metrów od niej zatrzymujemy się i nasłuchujemy. Nic... cisza... brak jakiegokolwiek ptasiej aktywności. Stoimy, zdaje mi się, że wieczność i tylko głuszcze w oddali łamie tę grobową ciszę. Wobec powyższego mój wyraźnie zmartwiony i podirytowany przewodnik daje sy-

gnał do odwrotu. Podążamy bardzo powoli w kierunku głuszcza, który rozpoczął toki – może uda się pod niego podskoczyć – kwituje Sasza. Nie uszliśmy nawet 10 metrów, gdy za sobą usłyszeliśmy wyraźne „tyk – tyk”. To nasz śpioch rozpoczął granie. Sasza zatrzymuje się i pokazuje na migi, abym powoli się obrócił. Tymczasem „nasz” głuszcze opuścił gęstą sosnową czapę i prezentując swe wdzięki na całego tokuje na uschniętej gałęzi. Cały ten spektakl toczy się w odległości od nas około 30 – 35 metrów, lecz nasza sytuacja nie należy do ciekawych, gdyż stoimy na otwartej przestrzeni. Każdy nawet najmniejszy ruch może być dostrzeżony przez głuszcza, który w takiej sytuacji niechybnie odleci w siną dal. Stoimy więc w zupełnym bezruchu, a w trakcie szlifowania stojący za mną Sasza pomaga mi ściągnąć broń z ramienia. Po kilkunastu zwrotek pełen sukces – mam broń przed sobą z lufami skierowanymi w stronę głuszcza. Jeszcze tylko dwa „ostrzenia kosi” i stopka kolby ląduje w dołku strzeleckim. Pomału odnajduję muszkę, którą kieruję na pierś olbrzymiego ptaka i gdy ten ustawia się na blat strzelam. I nic... Huk był, a ptak zamiast spaść dalej, jak posąg, stoi na gałęzi. Popraw – słyszę nakazujący ton Saszy. Strzelam po raz drugi i głuszcze spada

z drzewa jak ulęgalka. Sasza szybko biegnie w jego kierunku, przykrywa go kurtką i przyciska do ziemi, aby w czasie agonii nie stracił lub też uszkodził swych cennych piórek. Po chwili pod kurtką nastąpiła cisza i mój przewodnik pomału wyciągnął ogromnego ptaka. Oglądam go z zaciekawieniem. Jest przepiękny, a co najważniejsze mój. Podziwiam jego dziób, zgrzebłą, przepiękny wachlarz, koloryt grzbietu i brzucha, zastanawiając się jednocześnie - dlaczego spudłowałem. Z zadumy wyrzywa mnie głos Saszy, który jakby czytając w mych myślach mówi – oba strzały były celne. Ten pierwszy w pełni pokrył śrutem ptaka, który nie spadł, lecz zachwiał się na gałęzi i należało szybko poprawić, gdyż ostatkiem sił kurak mógł odlecieć i przepaść. „Charoszyj achotnik” – skwitował i dał znak do odwrotu. Gdy dotarliśmy na kwaterę zastaliśmy Grzegorza, któremu również bór podarzył i tym sposobem nasza piątka po dwóch wyjściach miała na rozkładzie dwa głuszcze i jednego cietrzewia. Tego ranka dla pozostałych kolegów myśliwski los nie okazał się łaskawy.

Cdn.

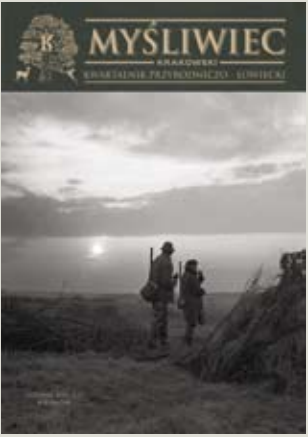
Marek Wajdzik



Spis treści:

Wsiadamy?	3
Marek Wajdzik	
Zmiany obyczajów nie tylko myśliwskich	4
Włodzimierz Tomek	
Persektwy zarządzania populacją wilka w Polsce	8
Henryk Okarma	
Mój głos w dyskusji o nowym Statucie PZŁ	14
Marek Kubis	
Rzecz o żurawiu	16
Ryszard Adamus	
Wycena medalowa parostków pozyskanych w sezonie 2023/2024	22
Mateusz Dudzik	
Wiosna	26
Ryszard Adamus	
Międzynarodowo w Mongolii	30
Adam Mroczek	
Kulawka - kieliszek bez stopki	42
Dariusz Knap	
Koğuty w dolinie Dunaju	46
Zbignew Cierniewski	
Nemrod czy Nimrod?	54
Marek Kubis	
Lech Pakuła - wspomnienie	60
Tomasz Ocetkiewicz Adam Ślęczek	
Syberia cz.I	62
Marek Wajdzik	

Zdjęcia na okładce:
Wacław Nowak str. 1
Marek Wajdzik, str. 2
Ryszard Adamus str. 4



WYDAWCA
Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY
Marek Wajdzik
REDAKCJA
Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Adam Bisping
Roman Barbasz
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Ryszard Adamus
Patrik Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE
Hubert Zwinczak

DRUK
Drukarnia SKLENIARZ

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

